Nr. 12. Kraków, w grudniu 1901 r. Rok II.



Pismo
dla kobiet wiejskich
wychodzi w drugą niedzielę każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie	1 kor.	zagranicą . . .	1 mark.
półrocznie . . .	50 hal.	pojedynczy numer	10 gr

Adres Redakcyi: Szpitalna 7, I. p.

WIGILIA.

Dość roboty poprzedza dni świąt Bożego Narodzenia, tak zwanych u ludu „godnych świąt“, bo też porządna gospodyni, po całorocznej pracy około roli, bydła, rada spocznie w dniach świątecznych, ucieszy się Nowonarodzonym, pomodli, poraczy się w gronie rodzinnem i z sąsiadami; więc uwija się, aby na te dni wypoczynku przysposobić wszystko naprzód.

Do wieczerzy wigilijnej przygotowując się całodziennym postem, zasiądziemy w gronie rodziny i domowników, gdy pierwsza gwiazdka zaświeci, przy stole zasłanym obrusem, a podesłanym siankiem, tak, jak na sianku przed wiekami przyjmowało Dzieciątko Jezus pierwsze swoje pożywienie. U pułapu wisi sad z choiną, jarzącą się świeczkami, a obwieszony jabłkami i innymi przysmakami, nęci dzieci swym widokiem; świat z opłatków sztucznie zlepiony, furkocze różnokolorowemi skrzydełkami nad stołem wigilijnym, na którym, w różnych okolicach naszego kraju, stosownie do zwyczaju i zamożności gospodarzy, różne stawiają potrawy, pamiętając jednak zazwyczaj o tem, aby wszystko, co nam nasza ziemia zrodziła, podanem zostało przy uczcie wigilijnej. A zatem bywa zazwyczaj barszcz z grzybami, kasza z suszonemi śliwkami, ryba z kapustą, kluski z miodem i makiem, w ruskich stronach zamiast klusek pszenicznych, obgotowują pszenicę, mięszając je z makiem i miodem.

Przed wieczerzą łamiąc się opłatkiem, życzymy sobie zdrowia, pomyślności w naszych zamysłach, pociechy z dzieci, wróżąc przytem z różnych znaków o urodzajach na rok przyszły; dziewczęta i chłopcy radziby przewidzieć, czy im też nowy rok nie przyniesie odmiany w losie. Na wesołej pogawędce lub też przypomnieniach o tych, którzy ziemię tę już opuścili i nie cieszą się ludzkiemi radościami, ale i nie smucą ziemskimi smutkami, kończy się wieczerza wigilijna śpiewaniem kolęd. Wiemy jaką mnogość ich mamy, to też jaki taki muzyk chwyta za skrzypeczki, a choćby na harmonii przygrywając, towarzyszy śpiewowi. I płynie ku niebu pieśń dziękczynna dla Tego, co porzucił szczęście niebieskie i wszedł między lud ukochany dzielić z nim troski i znoje. Ukochał

Bóg pracowitych rolników i pasterzy, wśród nich się narodził i wśród nich przebywać nie przestanie, pokąd Go sami nie wygonimy, niewiarą i występkami.

Wśród śpiewu bieży czas szybko, północ się zbliża, więc poukładawszy młodsze dzieci do snu, spieszymy na pasterkę. Kościół po czterech tygodniach adwentowych smutnych modlitw, jarzy się od świateł, organy rozbrzmiewają wesołą nutą kolęd, jasełka w ołtarzu świecą godowemi szatami i darami trzech mędrców ze wschodu, a najjaśniej promieniami z główki Noworadzonego, spoczywającego w białem zawinięciu na kolanach Matki Najświętszej. W serdecznej modlitwie myśl nasza idzie ku niebu, a w tejże chwili, według starodawnego podania, dusze naszych dziadów i ojców, z swych krain zagrobowych, przychodzą pod nasz dach i raczą się okruszynami naszej wigilijnej wieczerzy. Jaka to rzewna i miła sercu przypowieść. To pewne, że z duszami naszych zmarłych tworzymy związek, jak i z tymi, co po nas przyjdą. Jest to jakby łańcuch nieprzerwany, którego początek i koniec w rękach Boga spoczywa. Ziemia, która nas żywi, zlana potem pracy dziadów naszych, ta mowa, którą mówimy, wiara nasza, nasze obyczaje, to wszystko spuścizna po naszych poprzednikach. A jeżeli my spuściznę zmarnujemy, grunta wysprzedamy obcoplemieńcom, obyczaje dobre porzucimy, mowę skalamy przekleństwami i cudzoziemskimi wyrazami, czemże uraczymy dusze ich, gdy się kruszynami naszej uczty wigilijnej przyjdą pożywić?

Pod dach swój dawny zajrzawszy, a nie znalazłszy dzieci swoich, odejdą zasmuceni, rzekłszy z boleścią: „Nie mamy już dzieci, wiatr je rozwiał, jak suche liście w jesieni i ślad znikł po nich“. A i dzieci nasze przeklną kiedyś kości nasze, żeśmy ich pozbawili ojcowizny i ojczyzny.

Byli przed laty Polacy, którzy dla rozpusty i pijaństwa zaprzedali kraj polski w obce ręce, podając setki tysięcy następnych polskich pokoleń na zagładę, a wiarę naszą i naszą mowę na prześladowanie, jakie przeszło sto lat znoszą bracia nasi pod Prusakiem i Moskalem. Może Bóg miłosierny wybaczy tym wyrodnym synom ich zbrodnie, lecz my ich wnukowie do dziś z oburzeniem imiona ich wspominamy, a każdy nowy gwałt zadany nam przez prześladowców, obciąża w naszej pamięci owych złych, którzy własny naród w obcą moc pchnęli.

Abyśmy nie stali się podobnymi do nich, strzeżmyż więc spuścizny po ojcach naszych, a pracą i zapobiegliwością, oświatą i dobrymi uczynkami pomnażajmy ją. Strzeżmy mowy, wiary świętej przekazanej nam przez dziadów naszych, abyśmy się kiedyś z ich duszami połączyć w jedną społeczność wiernych mogli, uczmy dzieci szanować własną ziemię i własną zagrodę, abyśmy według starego podania, kiedyś dusze nasze uraczyli kruszynami z ich wigilijnego chleba.

A zatem przyjmijcie z opłatkiem wigilijnym, szanowni Gospodarze i Gospodynie, życzenia, by bieda nasza bliską była końca. By nam Bóg dopomógł uwolnić się od naszych prześladowców, aby ani jeden Polak nie potrzebował pracy szukać u obcych. Niech mu ją da własny kraj, własna ziemia, aby ani jedno dziecko polskie nie było muszone do pacierza w obcej mowie, aby ani jedna polska para nowożeńców nie potrzebowała kryć się z swoim ślubem katolickim, aby dusze królów polskich, których kości spoczywają w grobowcach Katedry wawelskiej, przyszły uraczyć się kiedyś okruchami wigilii swych następców na Wawelu, w chwili, gdy dzwony wawelskie grać będą radośnie, a dźwięk ich po całej Polsce rozbrzmiewać będzie słowa kolędy: „Chwała na wysokości, chwała na wysokości, a pokój na ziemi“.

Gwiazda Betleemska.

Kolęda.

Jakaż to gwiazda błyszczy na wschodzie,
Gwiazda nowego imienia,
Mędrcy wołają: „Ciesz się narodzie,
To gwiazda twego zbawienia“.

Biegną królowie za jej promieniem,
A za królami tłum ludu;
Bo im ta gwiazda świeci zbawieniem,
Bo im zwiastuje cud cudów.

Ten, co nam później miał być przykładem,
W miłości, w poświęceniu;
Dziś w niezgłębionych wyroków śladem,
Zrodzon w nędzy, poniżeniu.

W garstce barłogu skrył świętą głowę,
Palmę światłości męczeństwa;

Co światu życie miała dać nowe,
Nad błędem odnieść zwycięztwa.

Zadrżała zbrodnia, błądzą tyrany,
Gdyś Boże zstąpił na ziemię;
Wolen przesądów złem niezmazany,
Ludzkie z nich wybawić plemię.

I do człowieka zniżon postaci,
Wśród ziemskich cierpień i znoju;
Ucząc jak bliźnich kochać współbraci,
Rzucasz nam gałąź pokoju.

Jak czcić winniśmy nie urodzenie,
Lecz osobistą zasługę;
I w nędzy widzieć Twoje stworzenie,
Słodzić mu przykrą żeglugę.

Jak mamy Ciebie o wielki Boże!
Nad wszystko wielbić, miłować:
W ciernistem życiu zrywając róże,
Stałość męczeńską zachować.

Panie, ta gwiazda, co mędrców wiodła
Do Chrystusowej kołyski;
Niech nas do Twego prowadzi źródła,
Światowe przejmie połyski.

Do ostatniego życia poniku,
Boskiego światła udziela;
Byśmy też zaszli po jej promyku,
Do stóp świętych Zbawiciela. Amen.

Wigilia Polaków na Syberyi.

(Z pow. A. Szymańskiego p. t.: „Dwie modlitwy".)

Zima 18.... roku rozpoczęła się w całym kraju jakuckim [1]) niezwykle wcześnie. Już w końcu sierpnia przymrozki zwarzyły wszelaką zieloność i poczerniałe, ogołocone ze swej krasy przyrodniej, przestrzenie wielkiej doliny, w której leży miasto, przedstawiały się teraz oku człowieka niezwykle ubogo.

Nędzne jurty [2]), żadnych budynków, nic podobnego choćby zdaleka do ludnej i tak wesołej na jesieni wsi naszej. Tęsknota do kraju w czasie tej wczesnej, choć krótkiej jesieni, pierwszy raz stanęła przedemną w całej swej przerażającej grozie.

W połowie listopada zaczęły się znakomite „sorokowiki" [1]), często bez przerwy trwające przeszło dwa miesiące. To też choroba, której uległem, rozwijała się prędko i jeszcze na długo przed owymi „sorokowikami" wycieńczyła mnie zupełnie.

Z ciężką tą chorobą mocowałem się już kilka miesięcy i dzień wigilijny zastał mnie w chwili, gdy ku wszystkiemu, co swojskie, biegłem już z tym uporem nieszczęsnym, z którym myśl pijaka biegnie ku wódce, myśl szalonego ku idei wyłącznej. List, odebrany z kraju przed kilku dniami, z opłatkiem pokruszonym w drobne kawałki, dolał oliwy do ognia. List ten odczytałem niezliczoną ilość razy i jeżelim teraz biegał z kąta w kąt tego pokoju, jak wiewiórka w swem kole zamknięta, myślałem już nie nad listem samym.

Dzień, który wywoływał tyle wspomnień, sprawiał mi tyle cierpień, nadszedł; chodziło mi o to tylko, jakby urządzić się wieczorem tak. aby otoczyć się atmosferą, którąby choć na krótką chwilę, choć zdaleka, przypomniała przeszłość bezpowrotną i podsuwając nowe obrazy, podsyciła wycieńczoną wyobraźnię, dała jej karm dla nowych widziadeł.

W mieście było wówczas parę polskich domów, prowadzonych dość otwarcie, a w jednym z nich, czy też w dwóch nawet, urządzano wigilię, dziś jednak być tam nie mogłem. Domyślić się łatwo, że dziś chciałem się wyrwać z dusznej codzienności i poza granicami „towarzystwa" spędzić wieczór wigilijny.

* * *

Jeżeli wieczorem, w czasie mrozu wielkiego, przechodząc przez puste ulice miasta, dojdziesz do końca ulicy Kozackiej, znajdziesz się w punkcie, skąd jak na dłoni przedstawi ci się mniejsza dzielnica miasta, oddzielona od głównego grodu, starem, zamulonem łożyskiem rzeki. Im bardziej mróz ci dopiecze, z tem większą przyjemnością zatrzymasz się na tym punkcie, aby ucieszyć się widokiem, który stąd się roztacza. Mnóstwo jaśniejszych i bledszych, silniejszych i słabszych światełek widnieje tu zawsze, nawet przez mgławicę śnieżną. W kraju bezludnym, pustym, widok większego siedliska ludzkiego jest tak pociągający, że nie przechodziłem tędy ani razu, aby nie nakarmić oczu tym tak widomym dowodem siły i żywotności człowieka. Znam

[1]) Daleko na północy, w Syberyi, w Azyi.
[2]) Chaty Jakutów, z drzewa, mchu i ziemi zlepione.

[1]) Sorokowiki — mrozy 40-stopniowe.

tu już każdy dom. Najbliżej błyszczą jasnem światłem domy bogatszych kupców i urzędników, dalej podobne do jurt domy kozackie, jeszcze dalej dom szewca i dyaczka [1]) zarazem, kuźnia Jana Piętrzaka, jeszcze dalej, ledwie widzialne z poza szyb z lodu, błyszczą słabe światełka z jurt jakuckich i poza niemi — koniec życia, bezbrzeżne śnieżne obszary.

O jakże zimno tam być musi! jakże opuszczonym, jak słabym czuje się człowiek samotny wśród tych obszarów, zasypanych śniegiem, błyszczących lodem, czerniejących tajgą [2]) ponurą, ziejących mrozem, mrozem i tylko mrozem!

To też pamiętam to dobrze, drgnąłem i serce uderzyło mi silniej, gdy jakoś parę tygodni temu, zatrzymawszy się jak zwykle na wzgórzu, ujrzałem po raz pierwszy, jak z pustej przestrzeni, zaczynającej się za jurtami jakuckiemi, słaby, słabiutki ogień błysnął mgławem światełkiem, znikł i pokazał się znowu. Przywidzenie czy co, u Pana Boga. Nie wierzyłem oczom własnym, przetarłem je raz i drugi; ale ogień sierocy, daleki, odcięty od siedzib ludzkich, migoce coraz wyraźniej.

Długo stałem tu wówczas, nim domyśliłem się nareszcie, że to straszny, wyklęty dom, dom z przestrachem wymijany przez ludność miejscową, świecił ogniem samotnym. W domu tym kiedyś, przed laty, konali ludzie chorzy na ospę [3]), ale do dziś każdy z miejscowych mieszkańców prędzej zmarznie, niż wejdzie do tego domu. Domyślić się więc już w żaden sposób nie mogłem, ktoby tam odważył się rozniecić ogień w nocy.

Na drugi dzień dopiero dowiedziałem się, że w domu tym kilku Polaków, ludzi bez jutra, nie mających dachu nad głową, zamieszkało na stałe.

W pustkowiu tem bywałem odtąd dość często i teraz oto po dość długim namyśle wigilię postanowiłem przepędzić tamże.

* * *

Około godziny piątej wyruszyłem z domu. Straszny „chijus" [1]) nie wyszedł jeszcze ze swych kryjówek biegunowych i powietrze stało nieruchome, zastygłe. Dzięki tej okoliczności, bez trudu dotarłem do miejsca.

W dużym pokoju cienka łojówka na niskim warsztacie szewskim, słabo oświeca zaledwie jeden kąt jego. Przy warsztacie pracuje dwóch ludzi.

Siedzący bliżej wysoki i chudy mężczyzna, szewc z urodzenia, wbija w podeszwę wprawną i pewną ręką kołki drewniane.

Drugi, siedzący dalej, mężczyzna ze śliczną męską twarzą, wyrównywa i wygładza obcas, ale powoli, bez owej szparkości, z którą pracuje p. Józef. Dość spojrzeć na twarz młodszego szewca, aby odgadnąć, że człowiek ten nie przy warsztacie siedział niegdyś.

Rzeczywiście p. Jan Horodelski był niegdyś słuchaczem medycyny, później... ale o tem, czem on bywał później, i we dwa wieczoryby nie opowiedzieć, teraz od lat już pięciu jest on szewcem i powiedzmy prawdę otwarcie, szewcem-pijakiem.

Harda to niegdyś i rogata była dusza, ale życie starło ją i wdeptało w takie błoto, z którego wychodzą cało dusze nietylko piękne i szlachetne, ale i silne zarazem. Horodelski nie miał tej mocy i był dziś stałym mieszkańcem pustkowia. Jego dni na ziemi są policzone; rozum, oświata, które posiadał niegdyś, dają mu teraz zupełną świadomość swego położenia i jaką napełniają goryczą, o tem zapewne nikt nigdy nie dowie się na ziemi.

Powiedziałem wyżej, że twarz jego była piękna męską pięknością, lecz dodać winienem, że tchnęła ona łagodnym, miękkim wyrazem i napiętnowana była nieopisanym jakimś smutkiem. W obejściu był on inny trochę, a sposób wyrażania się często zdradzał wpływ otoczenia, w którym oddawna się znajdował.

Szewcy, gdym wszedł, jak przystoi ludziom pracującym, nie poruszyli się nawet na swych stołkach; rozebrałem się więc i oczyściłem z namarzłego lodu w milczeniu i dopiero, gdym podszedł ku nim bliżej, podniosły się obie nachylone głowy, witając mnie przyjaznym uśmiechem. Pan Józef ze względu na kołków parę, trzymanych w zębach, podał

---

[1]) Dyaczek, dyak znaczy sługa kościelny u Rosyan.

[2]) Tajga znaczy ziemia grzęska błotnista, torfowa, zamarznięta zmą, rozmiękła i moczarowata latem.

[3]) Ospa jest tu chorobą nierównie straszniejszą, aniżeli najstraszniejsze cholery u nas. W czasie epidemii ospy wymierają doszczętnie całe liczne, bo po kilkaset głów liczące rody. Ospa więc wzbudza w mieszkańcu tutejszym przestrach nieopisany i domy szpitalne po chorych na ospę z zabitemi drzwiami i oknami stoją zwykle niezajęte. Ponieważ zaś w domach tych chorzy nie leczą się, lecz umierają, więc przestrach, który wzbudzają, jest uzasadniony,

[1]) Chijus znaczy wiatr gwałtowny i przejmujący mrozem.

mi rękę, mrucząc coś nieokreślenie, i puścił ją natychmiast w ruch. Horodelski po przywitaniu obejrzał obcas jeszcze nieskończony i stawiając but na ziemi, wyrzekł z westchnieniem: „I dieło s koncom“ [1]). Było to ulubione przysłowie jego.

— Co skończone? — zapytałem jednak.

— Wszystko — brzmiała odpowiedź.

— Tylko nie obcas — mruknął pan Józef, wyjmując ostatni kołek z zębów.

— A właśnie, może i obcas, jeżeli rozumie się, nie rzucę tej ruiny przeklętej i nie wrócę znowu do dyaczka — odparł żywo Horodelski.

— A czy tu panu źle, czy co? — przekomarzał się pan Józef. — Warsztat chwała Bogu dobry, naczynia dosyć, a i pokojów, choć kotrydansa wywijaj.

Ale Horodelski nie słuchał i ciągnął dalej:

— Tak, bardzo być może, że rzucę to szewstwo moje, jeżeli tylko póki czas do dyaczka się nie przeniosę. Rzucę, bo szewc ten oto dowiódł mi czarno na białem, że psu na budę nie zdało się to rzemiosło moje, że partaczem jestem i szewcem tylko u dyaczka partacza być mogę.

Pan Józef zachychotał wysoce zadowolony i już się zabierał do odpowiedzi stosownej, gdy bas poważny:

— Cy u djacka, cy nie u djacka, a siewcem nigdy pon nie bandzie — przerwał mu w tej chwili.

Bas wychodził z ciemnego kąta tegożsamego pokoju; spojrzałem więc tam uważniej.

Na tapczanie dość niskim siedział ze spuszczoną głową, ustawicznie z lulki pykając, chłop okazały, zwykle Bartłomiejem, rzadziej Bartkiem owczarzem zwany.

— Dlaczegóż nie? — zapytałem, witając się z mówiącym.

— Dlatego ni — odparł Bartłomiej — ze nijakie stworzenie od przeznacynia swoigo ucic nie moze; ni pies sukom, ni baba chłopem nigdy nie bandzie.

— Przecież to co innego zupełnie?

— Ono widzi się tak tylo, co insego, a w rzecy jedno, bo choćby ja som na ten przykład: od roboty, juz i nie mówićby mi o tem, nie uciekam, a nie idzie mi przecie. A dlacygoj? Dlatygo, ze nie przy swojej robocie stojem. I choć pracuję, nie piję, marnieję jak ta owca na słocie i zmarnieję taki, bo i terom juz bardzi do psa na weselu, niźli do cłeka podobny.

Bartłomiej, jak to łatwo domyśli się każdy, był czasowym mieszkańcem pustkowia. Chłop to był wielkiej zacności, pracowity, uczciwy, nigdzie jednak nie mógł znaleść zajęcia dla siebie odpowiedniego. Chłop też to był poważny. Gadaniny czczej nie lubił i głos rzadko zabierał, ale za to jeżeli odezwał się kiedy, to nie inaczej tylko stanowczo.

W drugim również wielkim pokoju znajdowało się jeszcze dwóch stałych mieszkańców pustkowia: ślusarz Porankiewicz i exobywatel, niegdyś jaśnie wielmożny, p. Feliks Babiński.

Jeżeli Horodelski był człowiekiem, stojącym na skraju przepaści, to Porankiewicz stoczył się już oddawna na samo dno takowej. Gdym wszedł, dłubał on coś około swego stolika, nazwę warsztatu noszącego. Blady, chudy i drobny, jeszcze drobniejszy wydawał się wskutek pochyłego trzymania się.

Złe losy obegnały go po wszystkich ziemiach syberyjskich i dogorywać wypadło mu w najgorszej.

Babiński, gdym wszedł, spał; wstał jednak, usłyszawszy naszą rozmowę. Wysoki, barczysty, był on silny, a jego twarz ciemna, okolona czarnym jak węgiel zarostem, z wielkiemi nastraszonemi brwiami, miała zawsze wyraz surowy. Rozrzewnionym nigdy go nie widziałem i tylko gdy go coś bardzo za serce chwyciło, mrugał powiekami niezwykle prędko i rękę po wódkę wyciągał. W pracy niezmęczony, mógł i umiał pracować i jeszcze do niedawna jak wół pracował. Od lat dwóch dopiero pić zaczął na zabój. „Abo go co traciło, abo feler jaki ma w sobie“ — mawiał o nim Bartłomiej.

Babiński był silny niezmiernie, a chodził krokiem tak wielkim, posuwistym, że nigdy mu nie nadążysz. Wszystkie zakupy z miasta: chleb, mięso, wódkę on zawsze nosił, bo nikt tak prędko nie chodził i nikt tak mrozu, choćby największego, nie znosił.

Twardy to człowiek okrutnie, a miał on prócz tego jakiś spryt szczególny, który go już nieraz z toni prawdziwej ratował; on to zajął pustkowie i był gospodarzem, a co jeszcze dziwniejsza, umiał odnaleść Jakutkę brzydką jak piekło, ale uczciwą, jak tylko dzicy ludzie bywają, która zgodziła się być kucharką w osadzie. Eudoksya tedy była szóstą duszą w pustkowiu.

Nie wszyscy oni jednak zgodzili się od-

---

[1]) I sprawa skończona.

razu na uroczysty obchód wigilii. Bartłomiej i co dziwniejsza Horodelski, opierali się najdłużej. „Nie i nie! — upierał się Horodelski — wódki mogę wypić, ile chcecie, zjem co dacie, ale wigilia? Nie!“ I dopiero, gdy niezwykła wymowa, którą rozwinął Porankiewicz, zmiękczyła upór Bartłomieja, ustąpił odrazu i Horodelski.

Babiński, jak to zwykle w takich razach bywało, wyruszył bez zwłoki po zapasy i żywo powrócił z miasta z mąką, masłem, „pępkami“ [1]) i gąsiorkiem wcale pokaźnym. Zapiwszy więc po trosze i zakropiwszy co najzjadliwszego robaka, wyszliśmy do pierwszego pokoju, aby nie przeszkadzać przygotowaniom, które Eudoksya pod kierunkiem Porankiewicza prowadzić miała.

Teraz więc zaczęły się przypomnienia, wyliczania, po ile to lat niektórzy z nas nie widywali żadnej wigilii, a gdy Bartłomiej zauważył, że wartoby było „ochędożnie trochę zasiąść do tych świętych godów“, zaczęło się ogólne mycie i przebieranie, jak gdyby na bal jaki wybierali się wszyscy.

Pan Józef tedy wysunął białe kołnierzyki, aż do połowy policzków dochodzące, wdzięcznym węzłem z chustki kraciastej szyję swą ozdobiwszy.

Bartłomiej wydobył ze skrzynki jakiś węzełek niewielki i szperając w nim długo, wyciągnął kawałek rzadziuchnej kraśnej wstążeczki, próbując nawiązać ją na szyi, ale bezskutecznie. Zgrubiałe i odwykłe ręce nie słuchały go wcale i wstążeczka wymykała mu się z palców. Wtedy Bartłomiej zwrócił się do szewca z prośbą: „A niechno pon i mnie ot tyz!“ Szewc wziął się do roboty, lecz dopiero gdy Bartłomiej wymówił pocichu: „A dyć to jescej z domu“ — szewskie „Aaa!“ zabrzmiało z westchnieniem i Bartłomiej, przeprowadzony do światła, poczuł na szyi krawat, z którym „choć w zalicanki idź śmiało“. Za to gdy jeszcze i Babiński przypiął wykrochmalony kołnierzyk, a Horodelski wyciągnął jakąś odwieczną kurtkę, nad której plamami biedził się z pół godziny, cała nasza kompania wyglądała nader uroczyście.

* * *

Wreszcie drzwi sąsiedniego pokoju otwarły się a Porankiewicz chrząknął i wyrzekł uroczyście:

[1]) Pępki od ruskiego „Pupki“, są to brzuszki solone z wielkich i tłustych ryb poławianych w rzece syberyjskiej Lenie; jedzą się jak śledzie.

— Kolacya gotowa, proszę do stołu!

Widok, który nam się po wejściu okazał, był tak niespodziany, że wszedłszy, stanęliśmy jak wryci.

Przy ścianie wewnętrznej pokoju stał stół niemały z przykryciem białem, jak należy, przykryciem, przez którego dziury wyglądało siano, na stole leżące. Stół był oświetlony dwiema świecami, w lichtarze blaszane wetkniętemi; na jednym końcu stołu umieszczona była wielka miska z wonnie dymiącą kupą ładnie podrumienionych „oładi“ [1]), na drugim końcu znajdowała się miska z „pępkami“, octem i pieprzem przyprawionymi, około miski leżał chleb i stał gąsiorek otoczony kieliszkami.

Na samym zaś środku stołu, na jedynym poszczerbionym talerzu leżały okruszyny z przysłanego mi opłatka.

Porankiewicz wysunął się teraz naprzód i zbliżywszy się do stołu, wziął ostrożnie talerz z opłatkiem, a prostując się, aż mu w krzyżach zatrzeszczało, chrząknął, usta otworzył i rzekł drżącym głosem słów czworo:

— Panowie! Opłatek wprost z Warszawy.

Więc gdy słów tych czworo rozległo się się w pokoju, cisza zapanowała grobowa, jakoś mimowoli wyciągnęli się wszyscy w szereg jeden i tylko głów pięcioro zwróciło się ku talerzowi.

Porankiewicz wyprostował się znowu.

— Hm, hm! Panowie! Świętość taka....

— Poświęcony?! — z radosnym podziwem przerwał lękliwie Bartłomiej.

— Spodziewam się! innegoby nie przysłali — z głębokiem przeświadczeniem odparł Porankiewicz. — Ale — ciągnął dalej — hm, to jest chciałem powiedzieć, gdy jest świętość taka, więc się podzielimy?

— Podzielimy! a juści podzielimy! — ust pięcioro wyrzekło jakby jedne usta.

Porankiewicz zrobił nowe usiłowanie, aby stanąć prościej.

— Gdy zaś, to jest, chciałem powiedzieć, nie ubliżając kochanemu panu Babińskiemu — i skłonił się mu uniżenie — wszyscyśmy w tych oto pałacach gospodarze, więc spodziewam się, to jest myślę, najlepiej będzie, jeżeli pan, jako gość, nas wszystkich obejdzie....

I ponsowy cały, spocony jak po pracy największej, oddał mi talerz z ukłonem.

Wziąłem talerz i zbliżyłem się do Babińskiego.

[1]) „Oładie“ coś w rodzaju naszych racuszków, tylko z przaśnego ciasta.

I teraz dopiero, gdy mi samemu mówić wypadło, zrozumiałem, jakiego wysiłku potrzebował mój poprzednik dla swej przemowy króciutkiej; ręce moje trzęsły się, usta zamknęły zupełnie. Babiński zbladł, aż zbielał, i gdym podszedł do niego bliżej, surowa twarz jego zjawiła się przedemną nieruchoma, jak z marmuru wykuta i gdyby nie to, że powieki latały mu zawzięcie, myślałbym, że to trup, nie zaś żywy człowiek stoi przedemną. Zbierał długo okruszyny, ale te wypadały mu ustawicznie i wątpię, czy wziął choćby jedną....

Z innymi było toż samo.

Porankiewicz jako człowiek najmiększego serca, pierwszy zaszlochał jak dziecko i choć Bartłomiej, stojący za nim, krzepił go szturchaniem i ujmował prośbami rzewnemi: „Cichoj, bracie, cichoj, bo ryknę jak baran!“ — nic to nie pomagało. Więc też kiedym podszedł do Bartłomieja, siły już go opadły: nisko schylił swą głowę osiwiałą i wyciągając rękę po opłatek, zaczął głośno, powoli:

— W imię Ojca... i Syna... i Swientygo... i Swientygo — powtórzył ciszej i... ryknął głosem wielkim....

* * *

Łzy nam wszystkim ulgę przyniosły, wszystkim oprócz Babińskiego, który wśród płaczu ogólnego stał jak skamieniały, oczyma tylko mrugając.

Porankiewicz zaś jął nalewać wódkę, i rąk, ile było, wyciagnęło się ku stołowi.

Gdy nareszcie naczynia wszystkie napełniono, bojąc się nowego rozrzewnienia, wychyliliśmy je w milczeniu, z kolei przystąpiwszy do słonych i pieprznych „pępków“. Pokarm to taki, że bez stosownego odwilżania dużo go nie zjesz, więc gdy Porankiewicz ujął za gąsiorek powtórnie, znowu ręce wszystkie ku niemu się wyciągnęły i tu dopiero zauważyliśmy, że ręki Babińskiego pomiędzy naszemi nie było.

Babiński stał, jak poprzednio, milczący, nieruchomy, zbielały. Pierwszy Bartłomiej, jako z chorymi praktyk nie mały, dostrzegł niebezpieczeństwo i żywo skoczywszy ku Babińskiemu, obejrzał go troskliwie.

— Sidem suchych boleściów, widno, ścisło go zrazu! a bez ślozów zadławiomci boleści takowe cłeka, jak wilcysko jagniaka. Je jeden ratunek: jak ci z wierzchu bez ślipie zale srogie nie spłynom, spuścić je trza we środek i kiej ściekom pomaluśku, dławienie od syrca odstąpi. Trza mu było odrazu wypić do trzech raz; ale to nic jesce: chłop krzepki, to odyndzie potrochu!

I wybrawszy kieliszek pokaźniejszy, Bartłomiej zakomenderował:

— Lejże Porankiewicz!

Porankiewicz nalał, Babiński wypił; nalał znowu i Babiński wypił znowu; ale widać boleści nie odchodziły, bo Bartłomiej zaczął nowe oględziny.

— A cy od wypadku nie mata gdzie spirytusu trocha?

Gdy spirytus odnaleziono, Bartłomiej wybrał szklankę zwyczajną i nalawszy dobrą połowę, podał Babińskiemu.

Lekarstwo podziałało cudownie. Babiński pił małymi łykami, a gdy wypił, bladość ustąpiła mu z twarzy, usiadł przy stole i zakąski zażądał; podsunięto mu „pępki“, i gdy wszyscy naocznie przekonali się, że pępki znikają z należytą szybkością, kamień ciężki spadł nam z serca.

* * *

W pustkowiu huczało teraz jak w ulu; mówili wszyscy i choć wszystkim się zdało, że mówią głosem zwykłym, gwarno tu było, jakby nas było ze dwunastu.

Błogość pożądana ogarnęła wszystkich i zrobiło się każdemu tak rzewnie na duszy, że i smutki niedawne i bóle zastarzałe i rany, które każdy chował przed światem, jak skąpiec nie chowa skrzyni dukatami nabitej, otwarły się, aby przyjąć balsam pocieszenia.

I ulgę pożądaną otrzymawszy, widząc wokół twarze łzami współczucia zroszone, szedł każdy dobrowolnie z niemocą swoją i wyznawał grzechy swoje: była więc między nami jakby spowiedź publiczna ze skruchą szczerą uczyniona.

I dopiero, gdy skruchę i żal okazał każdy, a przebaczenie zupełne tym, którzy się spotykali na drodze ciernistej, wracało utraconą godność ludzką, — zżółkłe i pomarszczone twarze rozjaśniła radość szczera, dziecinna, śmiało podniosły się opuszczone źrenice — byliśmy teraz wszyscy sobie równi.

Pierwszy zagrał na cudnych strunach wspomnień rodzinnych Bartłomiej stary, roztaczając nam na złocistej kanwie swych pól sandomierskich obrazy pełne siły, prostoty i wdzięku.

Z rozwianym włosem bielejącym, rozo-

gnioną twarzą, wzrokiem natchnionym, jak stary prorok biblijny, ukazał nam najpiękniejsze ziemi rodzinnej niwy, łąki i lasy. Wiódł do siół, pod strzechę wieśniaczą; bolał nad niedolą, pod tą strzechą zagnieżdżoną, prowadził do świątyń, Imię Pańskie sławiących.

I stał się cud pożądany: cel pragnień zatajonych, śniony na jawie nocy bezsennych, ziścił się. Ziemia daleka, powietrze rodzinne, słońce złociste były tu pomiędzy nami w ciemnym pokoju pustkowia.... My widzimy tę ziemię, czujemy ją, dotykamy... tu osadziliśmy ją całą! Tu umailiśmy ją zielenią, tu okrasiliśmy ją kwieciem, tu ozdobimy ją ozdobą najpiękniejszą — sercami, tylko dla tej ziemi bijącemi i trzymać tu będziemy oblubienicę swoją... dopóki ją utrzymać zdołamy wszystkich swych sił wytężeniem....

* * *

...Chór z sześciu głosów złożony brzmi echem rozgłośnem w wielkich pokojach pustkowia. Pieśni smutne i radosne idą jedna po drugiej. Bartłomiej, bywalec po ziemi krakowskiej, ze swymi krakowiakami za dwóch starczy. Samo „Alboświa to jacy tacy“, mogłoby nasycić najzapaleńszego zwolennika pieśni rodzinnej, tyleśmy je razy prześpiewali, ale iluż to z pomiędzy nas nie słyszało tej piosenki nie pięć, nie dziesięć, ale dwadzieścia lub i więcej lat nawet! Więc chociaż chrypnie już Bartłomiej, po raz piąty, ogólnym zapałem pobudzany zawodzi:

I kozicek, a stalowy, wyostrzony,
I do pochewki włożony,
I fajecka, i krzesiwko,
Na to dobre przyodziewko,
Kochajze mnie moja dziewko,
Do kolusinecka
Moja kochanecka!

Zapał nieopisany wywołuje każde słowo tej pieśni, wdzięcznej i poetycznej swą prostotą naiwną. „Eech! co za pieśń! oto pieśń!“ — wyrywają się krótkie pochwały.

A Babiński łowi każdą nutę nowej piosenki, powtarzając głosem niezmiernie wysokim, dwie sylaby tylko: „dyna, dyna, dyna, dyna“.

Wyczerpano i wyśpiewano nareszcie wszystkie pieśni przez nas znane; więcej nic nikt nie pamięta.

* * *

Ale któż nie zna powszechnej u nas pieśni religijnej: „Gwiazdo morza“? Pieśń ta jednak w niewielu, zdaje się, kościołach jest śpiewana na nutę, na którą tu ją śpiewaliśmy. Zanucona bez słów, dziwnie przypadła nam do serca; śpiewaliśmy ją tedy do końca. I słowa i melodya odpowiadały uczuciom naszym. Proste słowa pieśni były jakby dla nas napisane; swojski motyw nuty uroczystej i wzniosłej, koił piersi nasze tak srodze cierpieniem i tęsknotą poranione. Bartłomiej pierwszy upadł na kolana, za nim poszli inni i popłynęła z ust naszych modlitwa szczera i gorąca, a gdy doszliśmy do słów: „Odwróć od nas głód, mór ciężki, zachowaj krwawej wojny“, modliliśmy się z takiem przejęciem, że słysząc, nie słyszeliśmy, i widząc, nie widzieliśmy, jak się podniósł Bartłomiej płaczący:

— Oj, nie usłysy Ociec litościwy — takiej modlitwy wielgiej z tej jaskini zapowietrzonej! Do Pana przestworzów niebieskich na przestworzu pomodlić się trzeba! — zawołał i jak stał, wyszedł z pokoju.

Więc wkrótce rozlega się głos potężny:

„Bóg się rodzi, moc truchleje!“

To Bartłomiej przyprowadzony przez Eudoksyę „z przestworzów“, wśród których zmarzłby niechybnie, kolęduje swym basem potężnym.

Choć usta nasze zaledwie poruszać się mogą, pijemy chciwie z nowej krynicy i chór zgodny z nową siłą zawodzi pieśń nową. Radosna pieśń Narodzenia Pańskiego unosi nas znowu daleko za jakucką ziemię, nowym ogniem, ogniem wiary, ufności i nadziei serca nasze rozpalając.

I modliliśmy się długo i gorąco; nawet Eudoksya, modlitwą naszą pociągnięta, weszła ku nam, ze świętym obrazkiem, biła przed nim pokłony i powtarzała błagalnie: „Tangara! Aj, Tangara! Aj, Tangara, uruj“ (Boże, wielki Boże, zmiłuj się).



Nowy gwałt.

Straszne bezprawie, o pomstę do nieba wołającą zbrodnię popełnił znów nad nami rząd pruski. Nienawiść i bezrozumna, a nieludzka

zaiste zaciekłość hakatystów pruskich tak ich w ostatnich czasach zaślepiła, że nie pomni na nic świętego. nawet sądy swe do wydawania fałszywych, ohydnych wyroków nakłonić potrafili. Sprawa wrzesińska i wyrok procesu gnieźnieńskiego, który przed paru dniami zapadł, są tego wymownym dowodem: dowodem zdziczenia, zezwierzęcenia całego pruskiego społeczeństwa, mogącego obojętnie patrzeć na czyn, który w dwadzieścia wieków po przyjściu Chrystusa — Tego, co nauczał nas miłości i przebaczenia — jest wstydem i hańbą dla każdego chrześcijańskiego narodu.

Wiecie — Kochane Czytelniczki (bo nie ma numeru naszej gazety, abyśmy Wam nie musiały podawać coraz to nowych szczegółów prześladowania pruskiego braci naszych w Wielkopolsce. w Prusach i na Śląsku górnym) — jak bezgranicznie nienawidzą nas Prusacy, potomkowie tych samych, którzy w długiej zależności od Polski pozostając. tylko polskiej wspaniałomyślności zawdzięczali możność utworzenia udzielnego państwa. A dziś. gdy zmienne losy świata poddały część naszego narodu pod berło władców Prus. zamiast wdzięczności za dawne dobrodziejstwa. przez naszych królów im wyświadczane, zamiast uznania i wyrozumienia na to. że naród polski nie może. bo nie powinien dać się zetrzeć z powierzchni ziemi lub zgermanizować — oni, ci sami Prusacy nie pogardzają żadnym, nawet najnieuczciwszym środkiem. aby dopiąć swego celu i Polaków albo wytępić zupełnie, albo na Niemców przerobić. Lecz widocznie zrozumiawszy wreszcie, że ani jedno ani drugie im się nie uda, chwycili się najbrzydszego. bo nieludzkiego sposobu gnębienia i znęcania się nad nami w bezbronnych i niewinnych dzieciach naszych. I oto do czego doprowadzili.

Najpierw więc postarali się o to, aby w ziemiach polskich (w Wielkopolsce, Prusach i na Śląsku górnym) posady nauczycieli w szkółkach poobsadzać ludźmi nawskroś zepsutymi, zdziczałymi, bez Boga w sercu i bez sumienia, którzy dla przypodobania się rządowi pruskiemu gotowi każdej dopuścić się zbrodni — i nauczycielom tym poruczono wychowanie i kształcenie polskiej dziatwy na modłę pruskich zbirów... Ale, chociaż wpływ szkoły na młodziutkie dusze jest wielki. nierównie większym jest przykład rodzicielskiego domu. A przy ognisku polskiej rodziny czuwa niezwykła bohaterka... matka-Polka! Ona rozpostarłszy ramiona w miłosnym uścisku, na piersi swej tuli główki swych dziatek i obroni ich od napaści wrogich zapędów. Ona nie dopuści, aby jej synowie i jej córki odwrócili się od uciśnionej ziemi ojczystej — ona ustrzeże ich serca i umysły od potęgi germanizacyjnej. Ona drobiazg swój pacierza i pieśni polskiej wyuczy, ukochania rodzinnego zagonu, przywiązania do mowy, którą z mlekiem jej piersi wyssało. ona mu pokaże przeszłość naszą wspaniałą, szlachetną i wpoi w duszę swej dziatwy opór wytrwały, ogromny przeciw tym. którzy jej ten najdroższy skarb miłości wydrzeć pragną.

Więc dziatwa ta, to mali, ale silni przeciwnicy, o których pierś, jak o mury warowni, odbijają się wszelkie pruskie ciosy, przeciw Polsce wymierzone. Więc dziatwa ta dziś to tarcza zasłaniająca polskość narodu naszego przed brutalną napaścią odwiecznych wrogów z Zachodu. Więc dziatwa ta, to nasza nadzieja przyszłości, nasza gwiazda. płonąca wielką miłością ojczyzny, ku której wznosimy łzawe i bólem zmęczone oczy.

Zatem na całej linii wre walka. Nauczyciele pruscy robią swoje, germanizując, a rodzice i dzieci polskie bronią się po swojemu.

Nauczyciele pruscy każą polskiej dziatwie modlić się i mówić po niemiecku. a ta za przykładem rodziców stanowczo tego odmawia. Wreszcie nauczyciele biorą się do wymierzania kary... cielesnej. Postanowili opornych chłostać; chłostać do krwi, do utraty przytomności, bodaj do śmierci nawet... A mali bohaterowie na to nic. Zęby tylko zacinają i ani słówkiem o litość nie proszą. „Niech biją". szepcą w duszy, „wszak miło za mowę ojców i za miłość ku ojczyźnie cierpieć". Więc cierpią. jak męczennicy niewinni. bezbronni, spokojni.

Ale serca matek i ojców wzbierają żalem, oburzeniem. rozpaczą. Zaciskają się ich pięści, wyrazy wzgardy na usta wybiegają. Upominają się tedy o sprawiedliwość. Daremnie! Tej nie znaleźć im w społeczeństwie takiem, jak pruskie, tej im tam nietylko odmówią. ale, jak obecnie wrzesińskich wieśniaków, za pobitemi dziećmi swemi się ujmujących, oskarżą o bunt. proces wytoczą i w Gnieźnie, w najstarszem czysto polskiem mieście, w najpierwszej stolicy Polski — jakby na urągowisko. skarzą na karę wyższą, niż ta. której sam urzędowy oskarżyciel zażądał..,. skarzą na okucie w kajdany i na długie, latami liczone więzienie.

Ale to nie klęska. to raczej tryumf, to zwycięztwo nasze!

„Chłop wielkopolski, cierpiący za ideę narodową, lud siermiężny. pociągnięty za polskość do ofiary męczeństwa — oto rzetelna siejba

Trzeciego Maja". Cały naród polski staje dziś za tymi bohaterami, łączy się z nimi w braterskim uścisku i jak jeden mąż woła: Chwała i cześć ofiarnikom! Jeszcze nie zginęła!

M. T. Bł.



O szkarlatynie.

Napisał prof. O. Bujwid.

Choroby wysypkowe czyli osutkowe jak: odra i szkarlatyna należą do najczęstszych chorób wieku dziecięcego. Obecnie u nas w Krakowie, jak zresztą i wogóle w kraju są one silnie rozpowszechnione i dlatego należy zwrócić baczną uwagę na drogi sprzyjające szerzeniu się, oraz na środki zapobiegawcze, przedewszystkiem co do szkarlatyny, która jest najniebezpieczniejszą chorobą dziecięcą.

Najpierw i najbardziej o tem pamiętać należy, że choroby zakaźne wogóle nie szerzą się za pośrednictwem powietrza; niektóre tylko (tyfus, cholera) za pośrednictwem wody, a największem niebezpieczeństwem grozi zawsze sam chory nietylko podczas choroby, ale i podczas zdrowienia, a następnie i przedmioty, z którymi pozostaje w najbliższem zetknięciu.

I tutaj jednak nie tyle groźnemi są w kierunku przenoszenia zarazy zakażone przedmioty, ile sam chory człowiek, a więc chore na szkarlatynę dziecko.

Żadna desynfekcya nie ma tyle znaczenia, ile należyte odosobnienie chorego dziecka zaraz po pojawieniu się pierwszych podejrzanych objawów.

Do tej właśnie okoliczności musimy zastosować wszystkie nasze środki zapobiegawcze.

Najczęściej zarażenie się szkarlatyną następuje tam, gdzie zbiera się większa ilość dzieci, a więc w szkole, podczas zabaw wspólnych i zebrań dziecięcych. Gdy więc pojawi się szkarlatyna w rodzinie, której dziecko uczęszcza do szkoły, należy dziecko do szkoły nie puścić, ani chorego, ani nawet innych zdrowych z tego samego mieszkania, a o wypadku zawiadomić zarząd szkoły, do której dziecko uczęszcza. Dziecko chore winno pozostać w domu przez czas conajmniej 6—8 tygodni. W szkole zaś nauczyciel winien zwrócić uwagę najpierw na te dzieci, które siedziały obok chorego, gdyż te najłatwiej zachorować mogą. Przy dostrzeżeniu najlżejszych objawów podejrzanych: ból głowy, gorączka, — dzieci takie winny być natychmiast do domu odesłane.

Surowe przestrzeganie możności zawleczenia zarazy do szkoły, uchroniłoby wiele rodzin od ciężkich utrapień. Dlatego też niech się nie zdaje nikomu, że nie posyłając dziecka chorego do szkoły czyni ofiarę z siebie; bo co dziś mnie, jutro będzie tobie. Gdy każdy zrozumie dobrze swój obowiązek, nie będzie zarażenia.

Gdy panuje w mieście szkarlatyna, wogóle dzieci powinny unikać wspólnych zebrań ulicznych.

Gdy dziecko już jest chore — powinno być usunięte do osobnego pokoju, a jeszcze lepiej z mieszkania tego powinny być usunięte wszystkie inne dzieci. Gdzie to jest niemożliwe, tam nie ustrzeżemy się zachorowania innych dzieci.

Dlatego kto niema osobnego pomieszkania, musi oddać dziecko do szpitala zakaźnego. W krajach, jak w Anglii, gdzie istnieje przymusowe umieszczanie dzieci chorych na szkarlatynę w domu zdrowia, choroba ta panuje bardzo rzadko.

Osoba pielęgnująca chore dziecko nie powinna wychodzić z pokoju, dla dziecka przeznaczonego, bez dokładnego umycia rąk i zdjęcia fartucha, który ma ochraniać ubranie od zetknięcia się z zarażeniem.

Wreszcie po chorobie należy mieszkanie oczyścić przez dokładne umycie podłogi i wyświeżenie sprzętów po wykonaniu dezynfekcyi w całem pomieszkaniu najlepiej zapomocą formaliny, co już zresztą jest rzeczą lekarza.

Zachowanie się względem chorego dziecka powinno polegać na dostarczaniu mu czystego powietrza, spokoju i chłodnego napoju podczas trwania gorączki (woda lekko zakwaszona cytryną).

Żadnych leków ogólnie skutecznych przepijać nie można, zresztą jest to zadaniem lekarza.

Pamiętać również należy, że po wyzdrowieniu należy unikać chłodnego powietrza, które może być bardzo szkodliwem. Dlatego po szkarlatynie trzeba kilka tygodni pozostawać w mieszkaniu.



Gwiazdy spadające.

Noc listopadowa piękna, pogodna, gwiaździsta. Zapatrzony w przestwory niebios, człowiek puszcza myśl za wzrokiem, a ta biegnąc z szybkością nadzwyczajną w dal — i od jednej do drugiej gwiazdy goniąc, buja wśród sfer wszechświata, podziwia piękność ich, harmonię ruchów i zależności wzajemnej, a korząc się przed Stwórcy potęgą, woła z poetką: *)

„Słyszę, ach słyszę sfer błękitnych głosy!“

— Nagle jakiś punkcik świecący odrywa się z pośród rozsianych gromad gwiazd, sunie jak strzała chyżo po szafirze niebios — i znika.... A za nim drugi, trzeci, dziesiąty, a za nimi cały ich szereg, cały snop, jak struga ognistego deszczu, przecinają pewną stronę widnokręgu... i lecą, i lecą i gasną...

„To dusze umierających“ — szepce trwożnie zabobonny, a nieświadomy prawd i zjawisk przyrody, człowiek.... i żegna się i zaczyna pacierz za konających w tej chwili — według jego mniemania — współbraci.. .

Lecz myli się ten poetyczny prostaczek, bo to tylko tak zwane „gwiazdy spadające“, zjawisko bardzo pospolite, doskonale przez naukę wyjaśnione i nic wspólnego nie mające z losami ludzkimi.

Trzeba wam bowiem wiedzieć, że w nieskończonych, bezgranicznych przestworzach, w których wszystkie ciała niebieskie czyli światy (t. j. gwiazdy stałe, komety, słońce, ziemia z księżycem i inne planety) ręką Boga rzucone, krążą po drogach przez Niego sobie wytkniętych, znajdują się też i okruchy zniszczonych już, zamarłych, rozbitych światów, które obiegając gromadnie słońce, dostają się w miejsce, gdzie ziemia wywiera na nie swój wpływ przyciągający, tak, że lecąc na nią przez powietrze i trąc się o nie, rozgrzewają się, rozżarzają nawet, zapalają wskutek tem tarciem wytworzonego gorąca i bądź w gaz zamienione, nikną czyli gasną, bądź jako rozpalone bryły, spadają na powierzchnię ziemi.

Pierwsze z tych zjawisk, t. j. przebiegające nad ziemią i gasnące gwiazdy nazywają się naukowo bolidy, drugie, t. j. spadające z nieba bryły mineralne: aerolity.

Dwa razy do roku t. j. około 10 sierpnia i około 14 listopada, między godz. 3 a 6 nad ranem najwięcej można widzieć takich gwiazd spadających, a to dlatego, ponieważ w tych dwóch porach dostają się owe okruchy rozbitych ciał niebieskich w sferę przyciągania ziemi. Lecz nie każdego roku obfitość gwiazd spadających jest jednakową. Raz na 33 lat spada ich najwięcej, a uczeni astronomowie (badający ciała niebieskie, obliczyli, iż rocznie spada ich na ziemię około 140 miliardów... Dalej przekonali się uczeni, że gwiazdy spadające powstały prawdopodobnie wskutek rozbicia się komet, (komety również znane wam być muszą, albowiem co pewien czas któraś z nich ukazuje się na naszym widnokręgu), gdyż po tychże samych drogach naokoło słońca naszego krążą komety, a największy ich spadek przypada wtedy, gdy oczekiwana przez astronomów kometa się nie pojawia...

Bolidy, czyli te gwiazdy spadające, które przebiegając część niebieskiego sklepienia, nikną ponad ziemią, nie wywierają wielkiego wpływu na powierzchnię naszej planety; aerolity zato, jako na ziemię spadające i na niej pozostające mineralne bryły, przyczyniają się powoli do zwiększania choć nieznacznego, ale ciągłego objętości, miary i wagi ziemi. Aerolity te bywają nieraz znacznej wielkości i ciężaru. I tak n. p. aerolit żelazisty, znaleziony w roku 1866 w Ameryce Południowej ważył 104 kg. W tymże samym roku spadło na Węgrzech parę tysięcy aerolitów, z których największy ważył 293 kg.!

Dnia 25 grudnia 1869 roku spadł w Afryce aerolit o średnicy 1 metra!

W roku 1861 znaleziono w Australii bryłę aerolitu, ważącą 3000 kg.!! Największe i najcięższe aerolity spadły w Chinach (w Azyi). Jeden z nich waży 1.500 kg!...

Badając skład tych brył niebieskich, — jak je pospolicie lud nazywa — przekonano się, że przeważnie składają się one z czystego żelaza z niewielką przymieszką innych minerałów zupełnie podobnych do tych, które i na ziemi znajdujemy, n. p. miedź, sód, wapń, fosfor, siarka, węgiel i t. p.

M. T. Bl.

*) Marya Konopnicka.

O obowiązkach gospodarza-rolnika.

(Wykład p. Józefa Królaka II., gospodarza z Szymborza, sekretarza Kółka rolniczego w Łojewie, pod Inowrocławiem, wygłoszony na tegorocznem Walnem zebraniu delegatów Kółek roln. w Poznaniu.)

(Dokończenie).

Wystrzegać się tylko trzeba, aby nie wozić mierzwy, kiedy ziemia grubszą warstwą śniegu jest pokryta. Nigdy nie trzeba przyorywać mierzwy w mokrej

roli: mierzwa przywalona mokrą ziemią jest przynajmniej na pół straconą.

Za pomocą nauki otrzymaliśmy także nawozy sztuczne, t. j. superfosfaty, mąkę z żużli Thomasa (tomasówkę), saletrę chilijską i t. p. Najskuteczniejszym nawozem fosforowym jest dziś superfosfat. Superfosfat używa się celem zastąpienia w ziemi braku fosforu. Na gruntach ciężkich, zimnych, oddają superfosfaty wielką gospodarzowi usługę. Użycie soli chilijskiej, idzie w parze z używaniem fosforu, potażu i wapna.

Co do nawozów zielonych, to znane one są już dzisiaj całemu ogółowi: rośliną zaś, której głównie w tym celu się używa, jest łubin. Łubin udaje się najlepiej na lekkiej roli, która się znajdzie prawie w każdem gospodarstwie, i która odbiera mierzwę lepszym ziemiom, przeto jest niezmiernie ważną dla gospodarstwa rzeczą, siać taką roślinę na lekkich i jałowych rolach, która nie wymaga mierzwy, a w dodatku ziemię poprawia, na której urosła. Przyoranie łubinu powinno nastąpić, kiedy roślina dostanie stręki. Przed pługiem należy łubin uwałować, przez co się dobrze przykrywa.

Przy zielonych nawozach bardzo ważną rolę odgrywa ocienianie ziemi, dla tego sieje się rozmaite liściaste rośliny w ściernisku. Sprzątnąwszy np. żyto, płużkuje się ściernisko i sieje groch, wykę, tatarkę lub rzepnik. Gorczycy się nie zaleca, gdyż ta mocno ziemię wyciąga. Jeżeli czas pomyślny, odrastają wyżej wspomniane rośliny do późnej jesieni i wtenczas je się przyoruje, co się również dobrze opłaca, a szczególnie pod buraki cukrowe lub ziemniaki.

Gospodarz powinien posiadać odpowiedni inwentarz na swojem gospodarstwie. Pasza, inwentarz i rola, muszą w każdem dobrem gospodarstwie stać w odpowiednim do siebie stosunku. Inwentarza powinno być tyle, ile jest potrzeba do należytego urobienia takiej ilości mierzwy, aby rolę utrzymać w należytym stopniu kultury, paszy zaś powinno być tyle, ile jest potrzeba do należytego utrzymania tego inwentarza.

Gospodarz powinien umieć obchodzić się z inwentarzem, aby przez złe obchodzenie nie był narażonym na straty. Przy zmianie paszy mianowicie trzeba być bardzo ostrożnym, aby uniknąć chorób, jako to wzdęcia u bydła i koni, schwacenia, zołzów i t. d.

Zepsuta pasza, nieczysta woda, sprowadza choroby nieraz zaraźliwe. Na dzisiejszą czeladź spuścić się nie można, obowiązkiem gospodarza więc jest, aby on sam doglądał bydełko swoje, gdyż „oko Pańskie konia tuczy". Czyszczenie bydła również bardzo się przyczynia do dobrej tuczy.

Gospodarz starać się powinien o wzorowy porządek w swojem gospodarstwie, gdyż jak to mówią, „porządek jest duszą gospodarstwa" i słusznie! Lecz jaki to nieraz napotyka się porządek? Wejdźmy tylko na podwórze niejednego gospodarza — płoty poobalane, budynki obnażone, dachy dziurami świecą. Przed stajnią rozpoznać nie można czy tam gnój leży, czy tam jakie bagnisko lub torfisko, jednem słowem, jest tam kompost z czasów Adamowych, a gospodarz tego naturalnie nie widzi. On woli z całą rodziną po cegiełkach skakać lub deseczkami chodzić, aby swego obuwia w błocie nie zostawić, ale o wywiezieniu tego tak drogiego nawozu, ani nawet nie pomyśli.

Zapytajmy się teraz o narzędzia potrzebne do uprawy roli, to się z pewnością po głowie podrapie. Pług tam gdzieś na polu zamarznięty, brony na środku podwórza gniją w błocie, nasz gospodarz tego nie widzi. To nie jest porządek w takiem gospodarstwie. Jeżeli ty masz czucie i wiesz, że ten dobytek kupiłeś za ciężko zapracowany grosz, to z pewnością będziesz się starał, abyś go przechował pod szopą.

Porozrzucanie narzędzi rolniczych po podwórzu, naraża też gospodarza nieraz na wielkie straty, przez okaleczenie się inwentarza.

Powinnością gospodarza jest również, aby budynki były zawsze w należytym porządku, zawczasu ratować, przez co mniejszy koszt, a nie czekać, aż będą grozić zawaleniem. W budynkach powinno być przynajmniej raz do roku bielone, pajęczynę często omiatać, gdyż takowa spada w koryto, bydło ją zjada i zatruwa się. Nie pochwala się także częstego jeżdżenia na jarmarki i targi. Nie jestem przeciwnikiem tego, owszem, jestem za tem, aby, gdy potrzeba gospodarzowi lub gospodyni ze sprawunkiem sprzedaży lub kupna, zaprządz konie, ale po załatwieniu interesu jak najprędzej do domu spieszyć, a nie przesiadywać na zimnie i mrozie, lub piec konie na skwarze słonecznym.

W każdem gospodarstwie, chcąc, aby koniec z końcem związać, powinna być zaprowadzona jak największa oszczędność. Rozrzutność jest to niepotrzebne wyrzucanie tego ciężko zapracowanego grosza na to, bez czego obyćby się można w gospodarstwie. A dzisiaj, syn gospodarza musi mieć kołowiec, boć drudzy mają, ale zobacz jego wóz i ten porządek na wozie, to splunąć trzeba. Półszorki na koniach sznurkami pozwiązywane, albo gwoździami pozbijane, na to on pieniędzy nie ma, by dać sporządzić, ani też sam nie sporządzi. Oszczędność należy zaprowadzić i w ubiorach. Nie kupować zaraz nowych rzeczy, a stare nadpsute, rzucać w kąt, chociaż to niejedna rzecz mogłaby jeszcze do użytku służyć, byleby się gosposi lub córeczce sporządzić chciało.

Lecz i z córkami nie lepiej się dzieje. Jeżeli na jakie święta nie dostanie nowej sukni lub gorsetu, do kościoła nie pójdzie. A kiedy nadchodzi czas wydania za mąż, to i tu zmartwienia nie mało, bo córeczka rozpieszczona, o gospodarstwie słuchać nie chce. A czemu? Bo chleba upiec jeszcze się nie nauczyła,

po gnoju jej się chodzić nie widzi, w pole nie pójdzie, boby jej słońce urodę spaliło.

Twoim więc ojcze gospodarzu jest obowiązkiem abyś dzieci twoje już od młodości przyzwyczajał, napominał i jeżeli tego potrzeba, karcił, a nie dopiero wtenczas, kiedy już za późno. Giąć drzewko póki młode, a nie czekać, aż wyrośnie na dąb olbrzymi. Wpływać też należy na dzieci, aby zachowały ten ubiór narodowy po ojcach naszych, który coraz więcej niknie z oczów naszych, a którego za lat kilka bodaj i za pieniądze nie będzie można oglądać.

Powinnością gospodarza jest prowadzić rachunki swych dochodów i rozchodów, bo w ten sposób dowie się, ile wydał na gospodarstwo, a ile na osobiste potrzeby z tego pouczy się, gdzie oszczędność zaprowadzić należy. Przez prowadzenie rachunkowości dowie się gospodarz, ile przyniosła dochodu każda część jego gospodarstwa i na co te dochody wydane zostały.

Czytając rocznik Kółek, napotyka się wiele jeszcze okolic, gdzie gospodarze mało się jeszcze zabezpieczają od ognia, a od gradu prawie wcale. Czyż za mało jeszcze tych przestróg, że niejeden, który swego mienia nie zabezpieczył, do żebraczego kija przyszedł. Zabezpieczenie nie pociąga za sobą wielkich kosztów, a jeżeli ogień lub grad nawiedzi, będzie choć cząstka zwrócona.

Zaleca się również, aby policę co rok zmieniać (tyczy to się tylko policy od ognia), boć w każdym roku zachodzą zmiany w gospodarstwie, tak w inwentarzu żywym jak i martwym, a przez to nie narazi się nieraz na szkodę, a z drugiej strony i na nieprzyjemności z towarzystwem, jeżeli pożar nawiedzi.

Obowiązkiem gospodarza jest również, aby ze swymi sąsiadami żył w zgodzie. Do najmilszych korzyści moralnych zaliczam spokój w rodzinie, sąsiedztwie i gminie. Spokój i miłe pożycie, jak każdy z Was przyzna, są nie do opłacenia. Już przysłowie nasze powiada, że „lepsza słomiana zgoda, niż proces złoty“, a „kto kocha bliźniego, rad się z nim i jagódką podzielić“. Przy niezgodach powstających przy podziale majątku między dzieci, najczęściej rodzice są winni, gdy nie zrobią testamentu. A więc rodzice, zróbcie zawczasu testament, oznaczcie dokładnie wartość majątku i takowy rzetelnie podzielcie pomiędzy dzieci.

Gospodarstwo trzymajcie w ręku dopóki wam sił starczy, a nie oddawajcie go za wysoki wymiar dzieciom w najlepszych latach swoich, ażeby oddać się próżnowaniu i sutemu darmozjadztwu. Te za uciążliwe wydatki bywają powodem kłótni, procesów, zgorszenia i obrazy Boskiej.

Jeżeli nie możecie wszystkich synów utrzymać na roli, to macie tym, co mają chęć do innego zawodu dopomódz, aby mieli sposób do utrzymania życia.

Gospodarz ma czytywać przy wolnym czasie pisma rolnicze i książki pożyteczne kształcące umysł i rozbudzające serce, bo dzisiaj z postępem rolnictwa i oświaty, nie wystarcza być dobrym rolnikiem, ale mamy się podnieść, aby stanąć na równi z wszystkimi samodzielnymi obywatelami kraju. „Oświata i praca, narody zbogaca!“

Z nastaniem zimy, gospodarz starać się powinien, aby narzędzia rolnicze, zostały wynaprawiane. Rzemieślnik w tej porze tańszy i lepiej przy dostatecznym czasie zrobić może. Gospodarz zaś z swą czeladzią lub dziećmi, zająć się powinien wyrabianiem mniejszych narzędzi gospodarskich, n. p. barczyków, kłonic, zębów do grabi i t. d., a nie będzie w czasie żniw narażonym na żmudę i stratę, jeżeli jaka przygoda zajdzie, bo i stelmach nie zawsze w miejscu.

W końcu nadmieniam, abyście jako ojcowie rodzin i przełożeni nad swoją czeladzią, dali dobry przykład w moralności i pracy, abyście nie pozwalali na niemoralne prowadzenie się czeladzi, bo to szerzy zgorszenie i zepsucie, które i dzieci Wasze dotknąć może. Złych i bezbożnych ludzi, jeżeli ich się naprawić nie da, czemprędzej z domu wydalić, boć kiedyś przyjdzie nam zdać z włódarstwa naszego ciężki rachunek przed Bogiem.

Synów Waszych nakłaniajcie, aby uczęszczali na zebrania Kółek rolniczych, tak samo i Wy Szanowni Delegaci nie bądźcie obojętnymi, ale popierajcie nasze Kółka włościańskie, gdyż myśl zbożna nie ginie, znajduje grunt podatny, przyjmuje się i wydaje plon obfity.

Wiele jeszcze mamy przed sobą pola do działania i w Bogu tylko miejmy nadzieję, iż tym naszym zamiarom pobłogosławi. Trzymajmy się tylko silną dłonią tego pługa, zdobywajmy w pocie znoju, co utracono w pocie rozpusty, mórg za morgiem, dom za domem, a doczekamy się przy pomocy Bożej lepszej przyszłości. A kiedy nam przyjdzie pożegnać ten padoł płaczu; to i Pan Bóg miłościwem okiem wejrzy i zawoła: „Pójdź sługo dobry i wierny, albowiem nad małem byłeś mi wiernym, przeto i nad wielkiem Cię postawię“.



Po procesie wrzesińskim.

Wyrok.

Niezmiernie wzruszającą scenę ogłoszenia wyroku, w Gnieźnie tak opisują dzienniki poznańskie:

Zbliża się wyrok. Z wieży katedry odezwał się „św. Wojciech“ i jęczał boleśnie, jakby płakał nad biednym polskim ludem i chciał wzruszyć serca sędziów.

Narada trybunału trwała od godziny 4½ popołudniu do 9½ wieczorem. Zajmują wreszcie miejsca sę-

dziowie. Przewodniczący Kah odczytuje uzasadnienie wyroku — a wreszcie litanię kar. Publiczność polska stała oszołomiona — z zapartym tchem. Co chwila tylko wyrywało się z ust: „Jezus Maryo!“ albo „To niepodobieństwo!“ — a nawet z ust niemieckich padały słowa: *Es ist unerhört!* (to niesłychane i t. d.,

1) Piasecka zasądzoną została na dwa i pół roku więzienia.

2) Dzieciuchowicz na 2 lata więzienia.

3) Chojnacki na 2 lata więzienia.

4) Balcerkiewicz na 1 rok i trzy miesiące więzienia.

5) Furmaniak na 1 rok więzienia.

6) Młoda mężatka Bednarowicz (z domu Jerzykiewicz) na 1 rok więzienia.

7) Zientek na 1 rok więzienia.

8) Haehnel na 1 rok więzienia.

9) Fr. Korzeniowski na 1 rok zuchthauzu.

10) 13-letni syn jego Antoni Korzeniowski na 4 miesiące więzienia i 2 tygodnie aresztu.

11) Pawlicka na 9 miesięcy więzienia.

12) Sierakowski na 9 miesięcy więzienia.

13) Katarzyna Żołnierkiewiczowa na 9 miesięcy więzienia.

14) Józef Żołnierkiewicz na 9 miesięcy.

15) 15-letni Aleksander Wiśniewski na 4 tygodnie aresztu.

16) Stachowiakowa na pół roku więzienia.

17) Stachowski tak samo.

18) 17-letni Musielak na 9 miesięcy więzienia, z czego policzono 5 miesięcy na więzienie śledcze.

19) Jagodziński na 2 miesiące więzienia.

20) Jezierska na 4 tygodnie więzienia.

Oskarżeni: Szypulski, Maciejewski, Jarmuszkiewicz i Rydliński zostali uwolnieni.

W milczeniu, z powagą, z zadziwiającym spokojem przyjęli wszyscy oskarżeni wyrok; nawet najciężej ukarana poczciwa Piasecka, dotąd nigdy nie karana, nie uroniła łzy. Chociaż pomiędzy skazanymi byli ludzie, którzy nigdy przed kratkami sądowymi nie stawali, dzieci, kobiety z ludu i panie z inteligencyi, którzy po raz pierwszy w życiu na lata i miesiące mieli pójść do więzienia — pomimo to nigdzie nie było słychać płaczu. Dozorcy więzienni wywołują skazanych z ław oskarżonych i na sali sądowej nakładają kajdany na ręce i dwóch młodzieniaszków, skutych ze sobą, prowadzą do cel więziennych. Publiczność opuszcza salę i rozchodzi się spiesznie do domów, bo na dworze szaleje burza.

Dziennik Poznański, który z całej rozprawy pomieszczał olbrzymie, nader szczegółowe sprawozdania, dziś pod wpływem tragizmu chwili zdobywa się tylko na kilka słów, które wyrażają cały ogrom bólu, przejmującego do głębi polskie społeczeństwo:

„Sędziowie gnieźnieńscy! niech was za ten wyrok Chrystus osądzi!

Dziś niezdolni jesteśmy ze wzruszenia więcej powiedzieć“.



ROZMAITOŚCI.

Listopad ten miesiąc najsmutniejszy i najwięcej ponury ma dla nas Polaków same wspomnienia żałoby.

W dniu 26 listopada 1855 zgasła gwiazda polskiego narodu. Zdala od ojczystej ziemi, na krańcu Europy — w Carogrodzie, umarł nieśmiertelny wieszcz, król poetów naszych Adam Mickiewicz.

W dniu 29 listopada 1831 r. wybuchała rewolucya, która mimo świetnych zwycięstw i narodowej chwały skończyła się nadzwyczaj smutno. Najdzielniejsi, najodważniejsi za Ojczyznę oddali swe życie i mienie — a Polska w twardsze jarzmo niewoli ujętą została.

W listopadzie zaludnił się Sybir zastępami dzielnych obrońców wolności narodu. Droga od Warszawy na krańce północnej Azyi pełna była kibitek wiezionych na wieczne wygnanie.

Powiastkę dziś zamieszczoną napisał Adam Szymański, autor kilku przepięknych obrazków ze Syberyi. Zna on ten kraj daleki, zimny i obcy nam... kraj, do którego Moskale nieszczęśliwych Polaków, za swą wolność walczących, po każdem powstaniu tłumnie posyłali... kraj okropny i przeklęty nie tyle z powodu ciężkiej pracy, na jaką tam wygnańcy nasi są skazywani, ile raczej z powodu strasznej choroby zwanej „tęsknotą za ojczyzną“, której tam każdy niemal z nieszczęsnych Polaków podlega... Ten step bezbrzeżny prawie, białym całunem śniegu przez większą część roku zasłany, te straszne, śmierć niosące podmuchy wichru północnego — te tajgi, czyli grzęzawiska rozmokłe na wiosnę, a ścięte lodową skorupą przez długą i jak noc ciemną zimę... stanowią dla ducha męczarnię, którą potęgują jeszcze wspomnienia dalekiej przeszłości, dzieciństwa, lub młodości spędzonej szczęśliwie w ojczyźnie. „Wigilia“ w powiastce tej opisana to właśnie takie rozdzieranie serc skrwawionych wspomnieniem.

Na pierwszą wieść o wyroku gnieźnieńskim przez pruski sąd na Wrześcian wydanym, napisał Henryk Sienkiewicz płomienną odezwę, w której napiętno-

wawszy bezprawie Prusaków odwołał się do poczucia wspólności narodowej i polecił gorąco opiece całego narodu zostawione na pastwę nędzy i opuszczenia dzieci, których matki i ojców do więzienia wtrącono.

I nie zawiódł się wielki ten nasz pisarz i patryota.

Zaraz pierwszego dnia po wydrukowaniu tej odezwy jego w gazetach posypały się składki obficie.

Pieniądze płyną dla sierot wrześnieńskich — nikt nie uchyla się od złożenia daru choćby najmniejszego.

Aby zaznaczyć, że łącznie z całym narodem wyrażacie swe oburzenie i wzgardę wrogom ciemiężycielom, a współczucie i miłość cierpiącym rodakom.

Ufamy, że i Wy, drogie Czytelniczki grosz wdowi, grosz ostatni dorzucicie do tej ofiary narodowej.

Obrazek. Dziś w *Przodownicy* zamieszczona jest odbitka wspaniałego dzieła artysty malarza p. Włodzimierza Tetmajera, a stanowi to t. zw. tryptyk, czyli jeden obraz złożony, z trzech obrazów treścią i formą do siebie ściśle należących. Środkowa jego część przedstawia uroczysty obchód wigilii, przez naszych polskich wieśniaków, w izbie chaty około zastawionego stołu się gromadzących. Ponad nimi widnieje Matka Boża z Dzieciątkiem nowonarodzonem w gronie witających je pastuszków i aniołów, wesołą tę wieść ludziom na ziemi zwiastujących. Gwiazda betleemska, gwiazda zbawienia, jaśnieje u góry i wskazuje nam cel naszego żywota.

W bocznych skrzydłach obrazu, prawa strona przedstawia obrzęd powszechnie po wsiach naszych zachowywany obchodzenia z szopką i śpiewania kolęd popod oknami domów.

Z lewej zaś strony wymalował artysta wilka, który wedle podania ludu, w noc Narodzenia Pańskiego wraz z człowiekiem weselić się pragnie, więc pod siedziby ludzkie podchodzi i do oświetlonego wnętrza chat zagląda...

Legendy, wierzenia i podania wieśniaków zna p. Tetmajer doskonale, bo chociaż szlachcic z rodu i bardzo wysoko wykształcony (skończył uniwersytet) upodobał sobie lud polski i całą go duszą ukochał. W ludzie widzi on nadzieję i przyszłość narodu — czuje w nim siłę i krzepkość wielkiej mocy — uważa go za najtęższą dźwignię, odrodzenie Polski ułatwiającą.

Więc z ludem tym siermiężnym, z ludem rolnym, na zagony „ziemi świętej“ rodzinnej znój ciężkiej pracy i trudu lejącym — zżył się ten wielki artysta-malarz o gorącem sercu i szerokich ideach — zamieszkał na wsi w chłopskiej chacie w Bronowicach pod Krakowem. Wybrał sobie nawet za towarzyszkę życia i matkę swych dzieci krasną, hożą córę bronowickiego kmiecia, i jak Bóg przykazał w miłości, zgodzie, spokoju, od lat kilkunastu z wieśniakami obcując, wyrósł jeszcze i zmężniał duchem, czując się przedewszystkiem synem polskiej ziemi, rozdartej i uciemiężonej dziś, ale w ludzie i przez lud do jasnej, a chlubnej zdążającej przyszłości.

Pisownia imion polskich. Przy akademii nauk w Petersburgu, stolicy Rosyi, utworzoną została komisya do opracowania pisowni imion polskich w języku rosyjskim. Powstała więc nowa fabrykacya rusyfikowania nazwisk polskich.

Z Budapesztu piszą do *Przodownicy*:

„Ruch zwalczania używania napojów alkoholicznych (piwa, wina, wódki), zaczyna się tutaj dzielnie rozszerzać.

Towarzystwo międzynarodowe „Dobrych Templarzy (Good Templars) wysłało z tą misyą pannę C. A. Gray, która we wszelakich stowarzyszeniach odbywa odczyty z przedstawieniami doświadczalnemi (experymentem), w ten sposób wykazuje ilość alkoholu (trucizny) w napojach, jak piwo, wino, wódka i t. d. objaśniając zgromadzonym, jak szkodliwy wpływ mają napoje alkoholiczne na organizm ludzki.

Dnia 10 listopada podobny wykład odbył się w tutejszem polskiem stowarzyszeniu „Siła“, na którem z niedbałości tutejszych Polaków bardzo mała cząstka się tylko zebrała.

Odezwa. Wobec świeżych gwałtów pruskich, wobec nowych ciosów, jakie najdawniejsi gnębiciele nasi zadali całemu narodowi polskiemu, społeczeństwo nasze nie może zachowywać się biernie. Trzeba nam bronić się przeciwko nim — trzeba nam zespolić się ku tej obronie.

Nad obmyśleniem środków tej obrony i nam naradzić się należy — nam, obywatelkom kraju naszego — nam, kobietom polskim. Uczyniły to rodaczki nasze we Lwowie, dając tem żywy wyraz oburzenia swego przeciwko bezprawiom i głębokiego poczucia łączności narodowej. Pokażmy i my, że niemniej silnie od nich czuć i kochać umiemy — okażmy, że sprawa narodowa jest i nam świętą i ponad wszystkie inne droższą.

Stowarzyszenie „Czytelnia dla kobiet“ zaprosiło w tym celu w niedzielę dnia 8 b. m. o godzinie 5 popołudniu wszystkie kobiety, które czują się Polkami na przedwstępne obrady w jakiby to uczynić sposób.

W przeszłym roku podałyśmy Wam drogie Czytelniczki przepisy na dwa obiady wigilijne, na droższy i tańszy. W tym roku podajemy Wam sposób jak upiec struclę tanio a smacznie, oraz przepis na ciasteczka dla dzieciaków.

Strucle postne. Garniec mąki rozczynić kwartą letniej wody lub makowego mleka i 4 łutami drożdży, wybić mocno, żeby od rąk odstawało, wsypać soli, anyżku albo czarnuszki, wymięszać i postawić w cieple, żeby wyrosło. Potem brać po kawałku ciasta, rozwałkować lekko na stolnicy i robić długie strucle. Jak podrosną na blasze posmarować wodą, posypać czarnuszką. i wstawić w piec na 3 kwadranse.

Strucle postne z makiem. Pół garnca makowego mleka zagrzać i rozrobić 3 kwarty mąki, dodawszy 10 łutów drożdży i szczyptę soli, rozbić wszystko, żeby nie było gruzołków, posypać mąką, nakryć i zostawić żeby podeszło. Gdy ciasto z wierzchu popęka, rozbić, wsypać cukru pół funta lub więcej do upodobania i wymięszać tyle mąki wybijając mocno, aby ciasto nożem krajać się dało, nie zostawiając na niem śladów, wsypać dobrą szklankę szarego maku, wymięszać dobrze i zostawić w ciepłem miejscu żeby podrosło. Potem robić strucle zwyczajną formą, albo zrobić na stolnicy 3 wałeczki w środku grubsze jak po bokach, spleść warkocz, ułożyć na blachy wysypane mąką, skoro podejdą, posmarować wodą, posypać makiem, cukrem i wsadzić w piec.

Ciasto na strucle. Garniec mąki pszenicznej przesiać i wygrzać, oddzielić połowę i rozczynić kwartą mleka i za 5 ct. drożdży, wyrobić dobrze, żeby nie było gruzołków i postawić w cieple, żeby podrosło. Skoro rozczyna podrośnie, domieszać resztę mąki, wyrobić mocno ciasto, dodać 5 żółtek ubitych z troszką miałkiego cukru, albo kwaterką bani trochę roztopionego masła — soli, czarnuszki wyrabiać jeszcze aż od ręki odstanie i postawić w cieple, żeby rosło, potem robić struclę, taką plecionkę, posypaną szczyptą maku lub czarnuszki, albo jeżeli kto chce i może przełożyć ją makiem, który się parzy gorącą wodą, wylewa na sito żeby mak doskonale ociekł, tłucze się go w moździerzu z drobiną cukru i kładzie się cienko na ciasto rozciągnięte na stolnicy — ciasto zwija się razem z makiem zostawia w spokoju, żeby się jeszcze raz trochę ruszyło — potem wsadza się do pieca na pół godziny. — Taką struclę można robić nie dając ani jaj, ani bani, tylko troszkę cukru do ciasta i również będzie bardzo dobra, tylko trzeba zrobić starannie i czysto. *Fr. W.*

Obwarzanki zwyczajne. Garniec wody rozczynić letnią, osoloną wodą i 4 łutami drożdży. Gdy ciasto ruszy, wyrobić mocno i dać podejść powtórnie, potem robić obwarzanki proste lub kręcone i wrzucać do gotującej się wody. Jak wypłyną, wyjmować kijkiem, kłaść na blachę i do pieca, a skoro się zrumienią wyjąć. Można kładąc do pieca posypać czarnuszką lub makiem.

Sposób przyrządzania bani, żeby mogła być użyta do ciasta zamiast jaj. Obrać banie ze skóry, wyskrobać należycie od środka, pokrajać drobno, wstawić do garnka nalawszy mlekiem i gotować wolno aż będzie miękkie a potem przecedzić przez gęste sito. Kwaterka takiej masy, użyta do ciasta, zastąpi 6 do 7 jaj i ciasto jest smaczne.

Rewizya okopowizn w kopcach. Przed zimą będzie trzeba kopce z okopowemi zrewidować. Mieliśmy teraz dłuższe deszcze, mogły więc od nich ziemniaki zamoknąć i psułyby się niewątpliwie. Rewizya taka jest niezbędną w tym roku z powodu, że okopowizny przykryte są po większej części wszędzie tylko ziemią, nie broniła ich więc przed zamoknięciem słoma, jak w innych latach. Obecnie mamy piękne dni i ciepłe, trzeba więc kopce poodkrywać, okopowizny, jeśli zamokły, przesuszyć i okryć na nowo suchą ziemią i to już teraz grubiej cokolwiek, gdy zaś nastaną mocniejsze przymrozki, okryć tę ziemię przysposobionymi łętami, nacią od marchwi i t. p. i na to ziemią.

Tylko nie zwłóczmy z rewizyą kopców, bo nas może mróz zaskoczyć, ani nie będziemy wiedzieli kiedy!

Od Redakcyi.

Kochani Bracia i Siostry!

Upłynęły dwa lata od chwili, w której pierwszy numer *Przodownicy* wysłałyśmy pomiędzy Was.

Myśl złączenia się z Wami ściślejszym związkiem serdecznych uczuć i myśli, pouczenia i oświecenia Was w tych obowiązkach, których zrozumienie i spełnienie czynią człowieka dobrym i pożytecznym, była nam do tego pobudką.

Dwa lata! Jak to prędko można wymówić te słowa, a jednak ileż w nich bolu i rozlicznych cierpień, które nam się wiekiem zdawały, przenieśliśmy wszyscy! Prawda, były w pośród tego i chwile rozradowania i wesela, bo już tak Bóg daje z miłosierdzia swego, że smutek przeplata czasami radość lub pociecha; inaczej nie wytrzymałby człowiek!

A teraz przy nadchodzących Świętach Bożego Narodzenia ślem Wamy wszystkim życzenia świąt wesołych. Niech to Boskie Dzieciątko, które zstąpiło z niebios na ziemię, by nas wyzwolić z niewoli szatana i zbawić, podniesie swoją świętą rączkę, niech Was pobłogosławi, niech pobłogosławi dzieci Wasze, dobytek wasz, niech zamieszka w sercach Waszych i pod dachami chat Waszych; byście się wszyscy wzajemnie kochali i nieśli sobie pomoc, bo tylko tym sposobem wyzwolimy w przyszłości naszą drogą Ojczyznę z niewoli katów, którzy się nad nią pastwią.

Prosimy Was też serdecznie, czytujcie *Przodownicę*, zachęcając drugich, by ją czytali i prenumerowali, starajcie się, by się to pisemko rozwijało, to jest rosło w liczbę prenumeratorów, nie zalegajcie z wypłatą za nie, a będzie to wielka pociecha dla naszych serc, dowód, że nasze słowa rozumiecie, że się garniecie do oświaty.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: **Marya Siedlecka.**
Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.

ZA CHLEBEM

przez

HENRYKA SIENKIEWICZA.

(Dokończenie).

Ona pomyślała sobie, że jeden jest tylko taki, z którymby poszła na kraj świata, jeden Jaśko w Lipińcach. Ale ten, choć przyrzekł kaczorem morze za nią przepłynąć, ptakiem powietrze przelecieć, złotym pierścieniem po gościńcu się potoczyć, nie przypływał, nie przylatywał i ten jeden opuścił ją niebogę.

Marysia nie mogła nie wiedzieć, że w osadzie źle się dzieje, ale w takiej już była toni, z takich przepaści Bóg ją wydobył, taka jej dusza stała się jasna w niedoli, że ufności w pomoc niebieską nic jej nie mogło odebrać.

Zresztą wspominała, że stary pan w Nowym Yorku, który im pomógł z nędzy wstać i tu się przedostać, dał jej swoję kartkę, rzekłszy, że gdy ją niedola przyciśnie, niech się do niego zgłosi, a on ją poratuje zawsze.

Tymczasem dla osady każdy dzień większą groźbę przynosił. Ludzie uciekali z niej nocami i co się tam z nimi działo, to już trudno powiedzieć. Wokoło las szumiał i natrząsał się.

Stary Wawrzon zachorował wreszcie z wysilenia. Ból jął mu po pacierzach chodzić. Dwa dni nie zważał na to, trzeciego nie mógł wstać. Dziewczyna poszła do lasu, nazbierała mchu, wysłała nim gotową ścianę domu, leżącą na murawie, położyła ojca na mchach i gotowała mu leki z wódką.

— Maryś — mruczał chłop — już śmierć idzie do mnie przez bory: zostaniesz ty sama na świecie, sieroto. Bóg mnie karze za ciężkie grzechy moje, bom cię wyprowadził za morze i zgubił. Ciężkie będzie moje konanie....

— Tatulu — odpowiadała dziewczyna — mnieby Bóg skarał, gdybym za wami nie była poszła.

— Bym cię jeno samej nie zostawił: gdybym cię do ślubu błogosławił, lepiejby było umierać. Maryś, weź ty Czarnego Orlika za męża; on jest chłop dobry, on cię nie opuści.

Czarny Orlik, niechybny myśliwiec z Teksasu, który to słyszał, zaraz rzucił się na kolana.

— Ojcze! pobłogosławta — rzekł — miłuję ja tę dziewczynę, jako dolę własną. Jać się z borem znam i zginąć jej nie dam.

Tak mówiąc, patrzył sokolemi oczyma na Marysię, jako na tęczę, ale ona, pochyliwszy się ku nogom starego, rzekła:

— Nie niewólcie mnie, tatulu: komu ślubowałam, tego będę, albo niczyja.

— Komuś ślubowała, tego nie będziesz, bo ja go zabiję. Moją musisz być, albo niczyją — odpowiadał Orlik. — Zmarnieją tu wszyscy, zmarniejesz i ty, jeślić cię nie poratuję.

Czarny Orlik nie mylił się. Osada marniała: upłynął znowu tydzień i drugi. Zapasy dobiegały końca. Zaczęto bić bydło przeznaczone na robotę. Febra rzucała się na coraz nowe ofiary, ludzie na puszczy zaczęli to przeklinać, to wołać wielkimi głosami do nieba o ratunek. Pewnej niedzieli starzy, parobki, kobiety t dzieci, wszyscy klękli na murawie i śpiewali suplikacye. Sto głosów powtarzało: „Święty Boże, Święty mocny, Święty a nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami!" Bór przestał kołysać się; przestał szumieć i słuchał. Dopiero gdy pieśń ucichła, zaszumiał znowu, jakby mówił grożnie: Jam tu król, jam tu pan, jam tu najmocniejszy.

Ale Czarny Orlik, który z borem się znał, utkwił weń swoje czarne oczy, popatrzył nań dziwnie jakoś, potem rzekł głośno:

— A no! to weźmiewa się za bary.

Ludzie popatrzyli z kolei na Orlika i otucha jakaś wstąpiła im w serce. Ci, co go znali jeszcze z Teksasu, mieli do niego ufność wielką, bo to był myśliwiec nawet w Teksasie sławny. Chłop to był istotnie w stepach zdziczały i silny jak dąb. Na niedźwiedzia w pojedynkę chodził. — W San-Antonio, gdzie przedtem mieszkał, wiedziano dobrze, że czasem, gdy, wziąwszy karabin, wyszedł na pustynię, to parę miesięcy w domu go nie bywało, a zawsze wracał zdrów, cały. Przezywano go Czarnym, bo tak był opalony od słońca. Mówiono nawet o nim, że na granicy Meksyku rozbijał, ale to nie było prawdą. Przynosił tylko skóry, a czasem i skalpy indyjskie, dopóki mu za nie proboszcz miejscowy klątwą nie zagroził. Teraz w Borowinie on tylko o nic nie dbał i o nic się nie troszczył. Bór mu dawał jeść i pić, bór go odziewał. Gdy więc zaczęli ludzie uciekać i tracić głowy, on zaczął wszystko w ręce brać i rządzić się jak szara gęś po niebie, mając za sobą wszystkich z Teksasu. Gdy się po suplikacyach na bór zawziął, ludzie pomyśleli sobie: przecie on coś wymyśli.

Tymczasem zachodziło słońce. Wysoko, między czarnemi gałęziami hickor, świeciła jeszcze czas jakiś jasność złota, potem zczerwieniała

i gasła. Wiatr pociągał ku południowi, gdy się zmroczyło. Orlik wziął karabin i poszedł do lasu.

Noc już zapadła, gdy w czarnej dali leśnej ludzie ujrzeli niby wielką gwiazdę złotą, jakoby wschodzącą zorzę lub słońce, które rosło ze straszną szybkością, rozlewając krwawą i czerwoną jasność.

— Bór się pali! bór się pali! — zaczęto wołać w taborze.

Chmary ptactwa podniosły się z łoskotem ze wszystkich stron lasu, krzycząc, kracząc, świergocąc. Bydło w obozie zaczęło ryczeć żałośnie, psy wyły, ludzie biegali przerażeni, nie wiedząc, czy nie na nich idzie pożoga, ale silny wiatr południowy mógł gnać płomienie tylko od polanki. Tymczasem w dali zabłysła druga czerwona gwiazda, potem trzecia. Obie wkrótce zlały się z pierwszą i pożar huczał na coraz większych przestrzeniach. Płomienie rozlewały się jak woda, biegły po suchych wiązaniach lianów i dzikiego wina, trzęsły liśćmi. Wicher wyrywał te płonące liście, niósł je jakby ptaki ogniste dalej.

Hickory pękały z hukiem armatnim w płomieniach. Czerwone węże ognia wiły się po smolnem podszyciu puszczy. Syczenie, szum, trzask gałęzi, głuche huczenie ognia, pomieszane z wrzaskiem ptactwa i rykiem zwierząt napełniały powietrze. Niebotyczne drzewa chwiały się, niby płomienne słupy i kolumny. Poprzepalane na skrętach liany odrywały się od drzew i, kołysząc się strasznie, niby jakieś szatańskie ramiona, podawały skry i ogień od drzewa do drzewa. Niebo zaczerwieniło się, jakby w niem drugi był pożar. Zrobiło się widno, jak w dzień. Potem wszystkie płomienie zlały się w jedno morze ognia i szły przez las, jakby tchnienie śmierci lub gniew Boży.

Dym, upał i woń spalenizny napełniły powietrze. Ludzie w taborze, choć im nie groziło niebezpieczeństwo, zaczęli krzyczeć i nawoływać się wzajemnie, gdy nagle od strony pożaru pokazał się w skrach i blasku Czarny Orlik. Twarz miał okopconą dymem i groźną. Gdy go otoczono kołem, oparł się o karabin i rzekł:

— Nie będziecie karczowali. Spaliłem bór. Jutro będziecie mieli z tej strony pola, ile kto strzyma.

Potem zbliżywszy się do Marysi, rzekł:

— Musisz być moją, jakom jest ten, który spalił bór. Kto tu odemnie mocniejszy?

Dziewczyna zaczęła drżeć na całem ciele, bo łuna świeciła w oczach Orlika i cały wydał jej się strasznym....

Pierwszy raz od chwili przyjazdu dziękowała Bogu, że Jaśko był daleko w Lipińcach.

Pożoga tymczasem, hucząc, odchodziła dalej a dalej; dzień zrobił się chmurny i groził deszczem. Świtaniem niektórzy ludzie poszli obejrzeć zgliszcza, ale niepodobna było zbliżyć się od gorąca. Drugiego dnia sreżoga nakształt mgły zawisła w powietrzu, tak, że człowiek człowieka o kilkanaście kroków nie mógł odróżnić. W nocy zaczął padać deszcz, który wkrótce przeszedł w straszliwą ulewę. Być może, że pożar, wstrząsnąwszy atmosferą, przyczynił się do spędzenia chmur, ale prócz tego była to pora wiosenna, w czasie której na dalszym biegu Mississipi, tudzież w widłach rzeki Arkansas i Czerwonej padają zwykle ogromne deszcze. Przyczynia się do tego i parowanie wód, które w Arkansas pokrywając w kształcie błot, małych jezior i strumieni kraj cały, zwiększają się na wiosnę z powodu topnięcia śniegów w dalekich górach. Cała polanka rozmiękła i zmieniła się stopniowo w wielką sadzawkę. Ludzie, moknąc po całych dniach, zaczęli chorować. Niektórzy znów opuścili osadę, pragnąc się dostać do Clarcsville, ale powrócili wkrótce, przywożąc wieść, że rzeka wezbrała i że przejazd jest niepodobny. Położenie stawało się straszne, bo od przybycia osadników kończył się już miesiąc, zapasy mogły się wyczerpać, a dostać nowych z Clarcsville było niepodobieństwem. Wawrzonowi tylko i Marysi mniej groził głód niż innym, czuwała bowiem nad nimi potężna ręka Czarnego Orlika. Codzień rano przynosił im zwierzynę, którą albo strzelał, albo łapał we wnyki; na ścianie domu, na której leżał Wawrzon, Orlik ustawił swój namiot, by starego i Marysię od deszczu zabezpieczyć. Trzeba było przyjąć tę jego pomoc, którą prawie narzucał, i zobowiązać się do wdzięczności, bo zapłaty wziąć nie chciał, jeno ręki Marysinej żądał.

— Czy to ja jedna w świecie? — wypraszała się dziewczyna — idź, inszej sobie poszukaj, jako i ja miłuję innego.

Ale Orlik odpowiadał:

— Choćbym kraj świata schodził, drugiej takiej nie znajdę. Tyś mi jedna na świecie i musisz być moją. Co zrobisz, jak ci stary zamrze? Przyjdziesz do mnie, przyjdziesz sama, a ja cię wezmę jak wilk jagnię, w lasy zaniosę, aleć nie pożrę. Tyś moja! tyś jedyna! Kto mi cię zaprzeczy? Kogo ja się tu boję? Niech przyjeżdża twój Jaśko: chcę tego!

Co do Wawrzona, Orlik zdawał się mieć słuszność. Stary chorzał coraz bardziej, chwilami dostawał gorączki, mówił o grzechach swoich, o Lipińcach i o tem, że mu Bóg nie pozwoli ich zobaczyć. Marysia łzy lała i nad nim i nad

sobą. To, że jej Orlik obiecywał, iż byle mu ślubowała, to wróci z nią choćby do Lipiniec, było dla niej goryczą, nie pociechą. Wrócić do Lipiniec, gdzie był Jaśko, i wrócić cudzą — za nic! lepiej tu umrzeć pod pierwszem lepszem drzewem. Myślała, że tak skończy.

Tymczasem nowy dopust miał spaść na osadę.

Deszcz lał coraz większy. Pewnej głuchej nocy, gdy Orlik poszedł jak zwykle do boru, w taborze rozległ się krzyk przeraźliwy: „Woda! woda!“ Gdy ludzie przetarli ze snu oczy, ujrzeli w ciemności, jak okiem sięgnąć, jednę białą płaszczyznę, pluskającą pod deszczem i kołysaną wiatrem. Rozpierzchłe i przyćmione światło nocy połyskiwało stalowo na załamaniach i zmarszczkach fali. Od strony brzegu, gdzie sterczały pniaki, i od spalonego lasu słychać było szum i chlupotanie nowych fal, płynących jakoby z pędem wielkim. Krzyk powstał w całym obozie. Kobiety i dzieci zaczęły się chronić na wozy, mężczyźni biegli co sił na zachodnią stronę polanki, gdzie drzewa nie były wycięte. Woda dochodziła im zaledwie kolan, ale wzbierała szybko. Szum od strony lasu powiększał się i mieszał z okrzykami trwogi, z nawoływaniem imion i prośbami o ratunek. Wkrótce większe zwierzęta zaczęły się cofać przed parciem fali z miejsca na miejsce. Znać było, że gwałtowność prądu zwiększa się. Owce spłynęły i żałosnem beczeniem wzywały na pomoc, póki nie znikły, niesione w stronę drzew. Deszcz lał jak z cebra i każda minuta stawała się coraz straszliwszą. Daleki szum zmieniał się w ogromny gwar i huk rozwścieczonych fal. Wozy zaczęły drżeć pod ich uderzeniem. Znać było, że to nie zwykły zalew deszczowy, ale że rzeka Arkansas i wszystkie jej dopływy musiały wylać. Była to topiel, rwanie drzew z korzeniami, łamanie lasów, groza, rozpętanie się żywiołów, ciemność, śmierć.

Jeden z wozów, stojący najbliżej spalonego lasu, przewrócił się. Na rozdzierający krzyk: „Ratunku!“ zamkniętych w nim kobiet, kilka ciemnych postaci męskich rzuciło się z drzew, ale fala porwała ratujących, okręciła i poniosła w las na zgubę. Na innych wozach chroniono się na płócienne dachy. Deszcz szumiał coraz większy, coraz większa ciemność padała na tę mroczną łąkę. Chwilami belka jaka z uczepioną ludzką postacią przemknęła, rzucana w górę i na dół, chwilami ciemny kształt zwierzęcia lub człowieka, czasem ręka wysunęła się z wody i zapadła w nią na zawsze.

Coraz wścieklejszy huk wód zgłuszył wszystko, i ryki tonących zwierząt i wołania: „Jezu! Jezu! Marya!“ Na łące potworzyły się wiry i koliska, wozy nikły....

A Wawrzon i Marysia? Ta ściana domu, na której stary chłop leżał pod Orlikowym namiotem, uratowała ich na razie, bo spłynęła jak tratwa. Fala okręciła ją wokoło polanki i poniosła w stronę lasu, tam uderzyła nią o jedno drzewo, o drugie i, wepchnąwszy wreszcie w łożysko strumienia, poniosła w dal i ciemność. Dziewczyna, klęcząca przy starym ojcu, podnosiła ręce do nieba, wzywając je na ratunek; ale odpowiadały jej tylko uderzenia fali dżdżystej, gnanej wiatrem... Namiot zerwało... a i sama tratwa mogła rozbić się co chwila, bo i przed nią i za nią płynęły pnie powyrywanych drzew, które mogły ją zgnieść lub podważyć...

Nakoniec wpadła między gałęzie jakiegoś drzewa, którego czub było tylko widać z wody, ale w tej samej chwili z owego czuba doszedł głos ludzki:

— Weź karabin i przejdźcie na drugą stronę, by się tratwa nie przechyliła, jak zeskoczę...

Zaledwie oboje z Wawrzonem uczynili to, co im kazano, jakaś postać skoczyła z gałęzi na tratwę.

Był to Orlik.

— Maryś — rzekł — jakom ci powiedział, tak cię nie opuszczę. Boga mi! Ja was z tej toni wyprowadzę.

Toporkiem, który miał przy sobie, uciął prostą gałąź z drzewa, obrobił ją w mgnieniu oka, potem wypchnął tratwę z gałęzi i począł wiosłować.

Wydostawszy się na właściwe łożysko strumienia, płynęli z szybkością błyskawicy; gdzie? nie wiedzieli, ale płynęli. Orlik od czasu do czasu odpychał pnie, gałęzie lub wykręcał tratwę, by omijać drzewo stojące. Olbrzymie siły jego zdawały się podwajać. Oko, pomimo ciemności odkrywało każde niebezpieczeństwo. Upływała godzina za godziną. Każdy inny byłby padł ze zmęczenia, po nim nawet znać trudu nie było. Nad samym rankiem wydostali się z lasów, bo żadnego wierzchołka drzewa nie było widać na widnokręgu. Zato cała okolica wyglądała jak jedno morze. Potworne skręty żółtej i spienionej wody zataczały się z rykiem po pustej płaszczyźnie. Tymczasem dniało coraz więcej. Orlik, widząc, że żadnego pnia w pobliżu nie ma, przestał na chwilę wiosłować i odwrócił się do Marysi:

— Mojaś ty teraz, bom cię śmierci wydarł.

Głowa jego była odkryta, a twarz mokra i zarumieniona znojem, zagrzana walką z powodzią, miała taki wyraz siły, że Marysia po raz pierw-

szy nie śmiała mu odpowiedzieć, że innemu ślubowała.

Maryś — rzekł chłopak miękko — Maryś serdeczna!

— Dokąd płyniemy? — spytała, chcąc zmienić rozmowę.

— Co mi tam! byle z tobą.... umiłowana....

— Wiosłuj, dopóki śmierć przed nami.

Orlik począł znowu wiosłować. Tymczasem Wawrzon czuł się gorzej i gorzej. Chwilami miał gorączkę, chwilami opuszczała go, ale słabnął. Za dużo już było cierpień na jego stare, sterane ciało. Zbliżał się kres i uspokojenie wielkie, ulga wieczysta. W samo południe obudził się i rzekł:

— Maryś! już ja jutra nie doczekam. Oj! dziewczyno, dziewczyno! bogdajbym nie był z Lipiniec wyjeżdżał i ciebie nie wywoził. Ale Bóg miłosierny! Nacierpiałem się niemało, to mi odpuści grzechy moje. Mnie pochowajta, jeśli będzieta mogli, a ciebie niech Orlik do starego pana do Nowego-Yorku odprowadzi. To dobry pan, on zlituje się nad tobą i na drogę ci da i wrócisz do Lipiniec. Ja już nie wrócę. O Boże, Boże miłosierny, pozwólże duszy mojej jakby ptakowi tam polecieć i choćby zobaczyć!

Tu gorączka go ogarnęła i począł mówić: „Pod Twoją obronę uciekam się, Święta Boża Rodzicielko!“ nagle krzyknął: „nie wrzucajta mnie w wodę, bom nie pies“, a potem widocznie przypomniało mu się, jak chciał Marysię z nędzy topić, bo znowu wołał: dziecko, odpuść! odpuść!...

Ona biedaczka leżała u wezgłowia ze łkaniem.. Orlik wiosłował i łzy dusiły go za gardło.

Wieczorem wypogodziło się. Słońce w chwili zachodu pokazało się nad zalaną okolicą i odbiło się w wodzie długą, złocistą taśmą. Stary zaczął konać. Bóg jednak zmiłował się nad nim i dał mu śmierć pogodną. Z początku powtarzał żałosnym głosem: „odjechałem od Polski, od tamtej ziemi“, ale potem w obłędzie gorączki zdało mu się, że do niej wraca. Ot, widzi mu się, że stary pan z Nowego-Yorku dał na drogę i na odkupno gospodarstwa, więc oboje z Marysią jadą z powrotem. Są na oceanie, okręt płynie dzień i noc, majtkowie śpiewają. Potem widzi ten port w Hamburgu, z którego wyjechał, miasta różne migają mu w oczach, mowa niemiecka brzmi naokoło, ale pociąg leci naprzód, więc Wawrzon czuje, że coraz bliżej jest domu, jakaś radość rozdyma mu piersi, jakieś powietrze inne, kochane, zalatuje go od stron rodzinnych. Co to? granica. Biedne chłopskie serce bije jak młotem.... Jedźcie dalej! Boże, Boże! a to już i pola i grusze Maćkowe... ich chałupy szare i kościoły. Tam chłop w baraniej czapce chodzi za pługiem. On ręce do niego z wagonu wyciąga. Gospodarzu, gospodarzu!... mówić nie może. Jadą dalej. A tam co? Miasto Przyręble, a za Przyręblami Lipińce. Idą oboje z Marysią drogą i płaczą. Jest wiosna. Zboże kwitnie... chrabąszcze brzęczą w powietrzu... w Przyręblach dzwonią na Anioł Pański... Jezu! Jezu! za co tyle szczęścia jemu grzesznemu? Jeszcze przez tę górkę, a tam już krzyż i drogoskaz i lipiniecka granica. Już nie idą... ale lecą jakby na skrzydłach, już są na górce, przy krzyżu, przy drogoskazie. Chłop rzuca się na ziemię i ryczy ze szczęścia i ziemię całuje i czołgając się do krzyża, obejmuje go rękami: już jest w Lipińcach. Tak jest. On już w Lipińcach, bo tylko martwe jego ciało spoczywa na zabłąkanej wśród powodzi tratwie, a dusza poleciała tam, gdzie jej szczęście i spokój...

Próżno dziewczyna zawodzi nad nim: Tatulu, tatulu! Biedna Marysiu, nie wróci on do ciebie! Jemu za dobrze w Lipińcach.

Nadeszła noc. Orlikowi wypadała już tyczka z ręki od wiosłowania i głód dokuczał. Marysia, klęcząc nad ciałem ojca, odmawiała przerywanym głosem pacierze, naokół aż do ostatnich krańców horyzontu widać tylko było topiel wodną.

Wpłynęli w łożysko jakiejś większej rzeki, bo prąd znowu szybko unosił tratwę. Niepodobna było nią kierować. Może to jednak były i wiry kręcące się nad wklęśnięciami stepu, bo często niosło ich kołem. Orlik czuł, że go siły opuszczają, gdy nagle zerwał się na równe nogi i krzyknął:

— Na rany Chrystusa tam światło! -- Marysia spojrzała w kierunku, w którym wyciągał rękę. Istotnie na dalekości błyskał jakoby ogieniek, z którego smuga odbijała się w wodzie.

— To łódź z Clarcsville! — mówił szybko Orlik — Yankesy[1]) wysłali ją na ratunek. Byle nas nie minęli.... Maryś, uratuję cię. Hoop! hoop!

Jednocześnie wiosłował z największem wysileniem. Jakoż ogień rósł im w oczach a w czerwonem jego świetle zarysowało się coś jakby wielka łódź. Była jeszcze bardzo daleko, ale zbliżali się. Po niejakim jednak czasie Orlik ujrzał, że łódź nie posuwa się naprzód.

Wpłynęli na wielki i szeroki prąd, idący w stronę przeciwną statku.

Nagle tyczka pękła z natężenia w Orlikowem ręku.

Byli bez wiosła. Prąd odnosił ich coraz dalej,

---

[1]) *Jankesi* — nazwa żartobliwa Amerykanów Stanów Zjednoczonych.

światło zmniejszało się. Na szczęście tratwa po kwadransie trafiła na drzewo, stojące samotnie na stepie, i uwięzła w jego gałęziach.

Zaczęli oboje wzywać krzykami pomocy, ale szum prądu głuszył ich głosy.

— Strzelę — rzekł Orlik — światło zobaczą, huk usłyszą.

Ledwie pomyślał, już podniósł w górę lufę karabina, ale zamiast strzału dało się tylko słyszeć głuche klapnięcie kurka o panewkę. Proch zamókł.

Orlik rzucił się na tratwę jak długi. Nie było rady. Przez chwilę leżał martwy; nakoniec podniósł się i mówił:

— Maryś... Inną dziewkę dawnobym ja wolą niewolą wziął i w lasy poniósł. Myślałem i z tobą tak zrobić, alem nie śmiał, bom cię umiłował. Chodziłem jak wilk sam po świecie i ludziska się mnie bali, a ja się ciebie zląkłem, i ot! Maryś, tyś mi chyba zadała co... Ale nie masz-że ty mnie poślubić: lepsza śmierć! Wyratuję cię, albo zginę; ale jeśli zginę, ty mnie serdeczna pożałuj i pacież za mnie zmów. Com ci przewinił?... Krzywdym ci nie zrobił. Ej! Maryś, Maryś! bądź zdrowa, kochanie moje, słońce moje....

I nim się zmiarkowała, co chce czynić, rzucił się na wodę i począł płynąć. Przez chwilę widziała jego głowę i ramiona prujące wodę mimo prądu, bo pływak był dzielny. Ale wkrótce zniknął jej z oczu. Płynął do łodzi po ratunek dla niej. Wartki pęd wody hamował jego ruchy, jakby go coś w tył ciągnęło, wydzierał się i zdążał naprzód. Gdyby mógł wyminąć ten prąd, gdyby trafił na jaki inny, dopłynąłby z pewnością. Tymczasem mimo nadludzkich usiłowań, zwolna tylko mógł się posuwać. Gęste, żółtawe wody rzucały mu częstokroć pianę w oczy, więc wznosił głowę, nabierał oddechu i wzrok wytężał w ciemność, by dojrzeć, gdzie łódź ze światłem. Czasem gwałtowniejsza fala cofnęła go, czasem uniosła w górę; oddychał coraz trudniej: czuł, że kolana mu tężeją. Pomyślał: nie dopłynę: ale w tem szepnęło mu coś w ucho, jakby kochany głos Marysi: „Ratuj mnie!“ i znowu jął rozpaczliwie rozcinać wodę rękoma. Policzki jego wydymały się, usta wyrzucały wodę, oczy wychodziły na wierzch... Gdyby wrócił, jeszczeby z prądem dopłynął do tratwy, ale on o tem nawet nie myślał, bo światło łodzi było bliżej i bliżej. Istotnie i łódź popłynęła ku niemu, niesiona tym samym prądem, z którym on walczył. Nagle uczuł, że kolana i nogi zesztywniały mu zupełnie. Jescze kilka rozpaczliwych wysileń... łódź coraz bliżej... „Pomocy! ratunku!...“ Ostatni wyraz stłumiła woda, która zalała mu gardło. Zanurzył się. Fala przeszła nad jego głową, ale wypłynął znowu. Łódź tuż, tuż. Słyszy już plusk i chrobotanie wioseł o boki statku: ostatni raz natęża głos i wzywa pomocy. Dosłyszano go, bo plusk stał się szybszy. Ale Orlik zanurzył się znowu. Porwał go potworny wir... Przez chwilę jeszcze zaczerniał na fali, potem jedna tylko jego ręka wzniosła się nad wodę, potem druga, a potem zniknął w topieli....

Tymczasem Marysia sama na tratwie, tylko z trupem ojca, patrzyła jak błędna w dalekie światło.

Ale prąd niósł je ku niej. Zarysowała się łódź o kilkunastu wiosłach, które przy blasku ognia poruszały się, jak czerwone nogi jakiegoś wielkiego robaka. Marysia poczęła krzyczeć rozpaczliwie.

— Hej, Smith! — ozwał się po angielsku jakiś głos — Niech mnie powieszą, jeśli nie słyszałem wołania o pomoc i jeśli nie słyszę znowu.

Za chwilę silne ręce przeniosły Marysię do czółna, ale Orlika w tem czółnie nie było.

W dwa miesiące potem, Marysia wyszła ze szpitala w Little-Rock i za pieniądze zebrane przez dobrych ludzi pojechała do Nowego-Yorku.

A pieniędzy tych nie było dość. Część drogi musiałaby robić piechotą, jednakże mówiąc już trochę po angielsku, umiała wyprosić sobie u konduktorów, że ją zabierali darmo. Wielu ludzi miało litość nad tą biedną, schorowaną, zczerniałą dziewczyną, o wielkich niebieskich oczach, podobniejszą do cienia, niż do człowieka i żebrzącą łzami o miłosierdzie. Nie ludzie też znęcali się nad nią, ale życie i jego warunki. Co w tym amerykańskim wirze i w tym olbrzymim „bussinesie“ miał robić ten polny kwiatek lipiniecki? jak sobie radzić? Wóz też tamtejszy musiał przejechać przez nią i zgnieść jej wątłe ciało, jak każdy wóz przejeżdża po kwiatach, co na jego drogę padły...

Wychudła, drżąca z osłabienia ręka targnęła za dzwonek przy Water-Street w Nowym-Yorku. To Marysia szła szukać pomocy u starego pana, rodem z pod Poznania.

Otworzył jej obcy jakiś, nieznany człowiek.

— Mister [1]) Złotopolski w domu?

— Kto to jest?

— Wiekowy pan. Tu pokazała kartę.

— Umarł.

— Umarł? A syn?... pan Wiliam?

— Wyjechał.

— A panna Joanna?

— Wyjechała.

Drzwi zamknęły się przed nią. Siadła na

progu i zaczęła sobie twarz ocierać. Była znowu w Nowym-Yorku, sama, bez pomocy, bez opieki, bez pieniędzy, na woli Bożej.

Czy tam zostanie? Nigdy! Pójdzie oto do portu, do niemieckich doków podejmować pod nogi kapitanów i prosić, by ją zabrali, a jeśli się zmiłują, to o żebraczym chlebie przejdzie Niemce i wróci do Lipiniec. Tam jej Jaśko. Ona prócz niego nie ma już nikogo na szerokim świecie. Jeśli on jej nie przygarnie, jeśli zapomniał, jeśli odepchnie, to chociaż umrze blizko niego...

Poszła do portu i czołgała się u nóg niemieckich kapitanów... Oniby ją zabrali; bo gdyby się tylko trochę odżywiła, byłaby z niej ładna dziewczyna. Oniby radzi, ale cóż? prawa nie pozwalają... zresztą, zgorszenie... Niech więc im da spokój...

Dziewczyna chodziła sypiać na ten sam pomost, na którym raz już spali z ojcem, owej pamiętnej nocy, gdy ją chciał topić. Żywiła się tem, co wyrzucała woda, jako się w Nowym-Yorku z ojcem żywili. Szczęściem lato było,... ciepło...

Codzień, ledwie rozedniało, już była przy niemieckich dokach żebrać łaski i codzień napróżno. Ale miała wytrwałość chłopską. Tymczasem siły ją opuszczały. Czuła, że jeśli zaraz nie pojedzie, to niedługo umrze, jak pomarli wszyscy, z którymi ją dola wiązała.

Pewnego poranka przywlokła się z wysileniem i z tą myślą, że to chyba już ostatni raz, bo jutro już sił nie starczy. Postanowiła nie prosić, jeno dostać się na pierwszy lepszy statek odchodzący do Europy i schować się gdzieś na dnie cichutko. Gdy już wypłyną i znajdą ją, przecież jej w wodę nie wrzucą, a wrzucą, to i cóż? Jedno jej, jak umierać, jeśli umierać trzeba. Ale przy mostku prowadzącym na okręt pilnowano dobrze wchodzących i strażnik odepchnął ją przy pierwszej próbie. Siadła tedy na palu przy wodzie i pomyślała sobie, że ją chyba gorączka chwyta. Jakoż zaczęła się uśmiechać i mruczeć...

— Jać dziedziczka, Jaśku, alem ci wiary dochowała. Cóż, ty mnie nie znasz?

Biedaczka dostała nie gorączki, ale obłąkania. Odtąd przychodziła codziennie do portu wyglądać Jaśka. Ludzie przyzwyczaili się do niej i obdarzali czasem jałmużną. Ona dziękowała pokornie, uśmiechając się, jak dziecko. Trwało tak ze dwa miesiące. Pewnego jednak razu nie przyszła do portu i odtąd nie widziano jej więcej. Gazeta tylko policyjna doniosła dnia następnego, że na samym krańcu portu znaleziono ciało zmarłej dziewczyny niewiadomego nazwiska i pochodzenia.

KONIEC.



HYMN NARODOWY

z roku 1798.

Jeszcze Polska nie zginęła,
Kiedy my żyjemy.
Co nam obca przemoc wzięła,
Mocą odbierzemy.
Marsz, marsz Dąbrowski
Z ziemi włoskiej do Polski.
Za twoim przewodem,
Złączym się z narodem.

Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę,
Będziem Polakami,
Dał nam przykład Bonaparte,
Jak zwyciężać mamy.
Marsz, marsz — i t. d.

Jak Czarniecki do Poznania
Po Szwedzkim zaborze,
Dla Ojczyzny ratowania
Wrócim się przez morze.
Marsz, marsz — i t. d.

Moskal Polski nie posiędzie —
Dobywszy pałasza,
Hasłem wszystkich wolność będzie,
I Ojczyzna nasza.
Marsz, marsz — i t. d.

Już tam ojciec do swej Basi
Mówi zapłakany:
Słuchaj jeno, pono nasi
Biją w tarabany.
Marsz, marsz — i t. d.

Już tu ziomek pilnie słucha,
Czy armata ryczy;
Walecznego pełny ducha,
Każdy moment liczy.
Marsz, marsz — i t. d.
Przyłączyć się rada
Jęcząca gromada.

Czy Polacy, Czy Sarmaci
Będziem imię nosić,
Byle w gronie dawnych braci
Miłą wolność głosić!
Marsz, marsz — i t. d.
Naród na Cię czeka —
Przyjdź z prawem człowieka.

Choć sąsiady nas zniszczyły
I broń nam zabrały,
Sparty murem piersi były,
I te nam zostały.
Marsz, marsz — i t. d.
Każdy z nas chęć czuje,
Wodza nie brakuje.

Dzielność wolnego oręża
Starzec opowiada,
Aby szukać tego męża,
Młody na koń wsiada.
Marsz, marsz Dąbrowski,
Z ziemi włoskiej do Polski,
Za Twoim przewodem,
Złączym się z narodem.
Wolność dawne hasło
Jeszcze w nas nie zgasło.



Modlitwa codzienna.

(Na nutę: „Kiedy ranne wstają zorze").

Boże Ojcze! Twoje dzieci
Płaczą, żebrzą lepszej doli,
Rok po roku marnie leci,
My w niewoli, my w niewoli!

Słowa Twoje nas stworzyły:
Każdy włos nas policzony —
Boże! policz te mogiły,
Te płaczące matki, żony.

My już tyle krwi przelali,
Że nią zmyte ojców grzechy
My już tyle łez wylali,
Że nie stanie łez pociechy.

Boże! padłszy na kolana,
Ścielem Ci się dziś w pokorze,
Polska łzami, krwią zalana —
Krwią i łzami, wskrześ ją Boże!



Bartłomiej Głowacki.

Hej tam w karczmie za stołem
Siadł przy dzbanie Jan stary;
Otoczyli go kołem,
On tak mówił do wiary:

„Ja mówiłem wam nieraz,
Że dziś zuchów już mało;
Wiara bracia, źle teraz,
Dawniej lepiej bywało!

„Za mych czasów to słynął
Kum Bartłomiej Głowacki;
Od Moskali on zginał —
Oj to Krakus był gracki!

„Bo czy w karczmie, czy w domu,
Czy to taniec, wesele,
Nie dał bruździć nikomu,
Wszędzie sam był na czele.

„Jak na wroga zwołali
Wiarę z naszych powiatów,
Myśmy bili Moskali
Bez pomocy magnatów.

„Po szeregach jaśniały,
Karazye, czapeczki,
Do każdego się śmiały,
Kiedy łanie dzieweczki.

„A Bartosz nad wszystkiemi
Jaśniał jak dąb wspaniały,
Bo w Krakowskiej też ziemi
Nikt nie dorósł mu chwały;

„Raz, pamiętam, z wieczora
W Racławicach stoimy:
Wtem coś miga z za bora,
Ot Moskali widzimy.

„Jak Kościuszko ich zoczył,
Kazał bębnić na bitwę;
Wtem Głowacki podskoczył,
A miał kosę jak brzytwę.

„Hań za borem harmaty
Bronił oddział kozacki.
„Poczekajta psubraty!“ —
Krzyknął Bartosz Głowacki.

„Jak wziął machać, wywijać,
My też obces na wrogi;
Dalej ranić, zabijać,
Aż Moskale het w nogi!

„Het przez rowy, przepaście,
Uciekali jak wściekli:
Myśmy harmat dwanaście
Do Kościuszki przywlekli.

„Jak się zeszli wodzowie,
To Bartosza witali,
I pili jego zdrowie
I serdecznie ściskali.

„Ja mówiłem wam nieraz,
Że dziś zuchów już mało;
Wiara bracia, źle teraz,
Dawniej lepiej bywało!“

Gdy to wyrzekł Jan stary,
Zapał w oczach mu błysnął,
Wspomniał sobie wiek jary,
Starą kosę uścisnął.

Młodzież kubki nalała,
Wychyliła je duszkiem;
„Oto zuchy“ krzyczała,
„Nasz Głowacki z Kościuszkiem!“



Bywaj dziewczę zdrowe.

Bywaj dziewczę zdrowe, ojczyzna mnie woła!
Idę za kraj walczyć wśród rodaków koła;
I choć przyjdzie ścigać jak najdalej wroga
Nigdy nie zapomnę jak mi jesteś droga.

Pocóż ta łza w oku, pocóż serca bicie?
Tobiem winien miłość, a ojczyźnie życie!
Pamiętaj, żeś Polka, że to za kraj walka;
Niepodległość Polski, to twoja rywalka.

Polka mnie zrodziła, z jej piersi wyssałem:
Być ojczyźnie wiernym, a kochance stałym.
I choć przyjdzie zginąć w ojczystej potrzebie,
Nie rozpaczaj dziewczę, zobaczym się w niebie.



Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: **Marya Siedlecka.**
Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.